CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 13 29 STYCZNIA 1976 R CENA 1,50 ZŁ

Zdjęcie: Jerzy Dąbrowski

Podobno zima ma zamiar wszystkie swoje tegoroczne siły spożytkować w Innsbrucku i stąd kłopoty ze śniegiem. Nam się jednak udało i przed kolejną odwilżą sfotografowaliśmy dla was prawdziwego bałwana. To rzadkość w tym roku...

NA PÓŁNOCY KRYMU odkryto SKARBY KSIĘŻNICZKI sprzed 2 tysięcy lat

MOSKWA (PAP). Skarby księżniczki, która żyła przed 2 tys. lat, odkryli na północy Krymu archeologowie radzieccy. Podczas budowy kanału odkopano kurhan, który krył szczątki scytyjskiej władczyni, pochowanej wraz z całą biżuterią. Był tam wspaniały złoty diadem, bransolety, wisiorki i naszyjniki, a także wyroby z kamieni szlachetnych i półszlachetnych – lazurytu, nefrytu i szafiru. Prawdziwą rewelacją było odkrycie w grobowcu ozdób z bałtyckiego bursztynu. (ej)

Zdjęcie: CAF

UWAGA NIEBEZPIECZEŃSTWO! KRUCHY LÓD GROZI ZAŁAMANIEM

Lód na rzekach, stawach i jeziorach zawsze jest niebezpieczny. A jednak wciąż mamy wielu nierozsądnych, igrających ze śmiercią amatorów ślizgawki – jak ci oto na zdjęciu. Przestrzegamy – nie wchodźcie na zamarznięte, naturalne zbiorniki wodne!

MAMY JUŻ WŁASNE LODOWISKO!

To było dla nas, w sam raz. Po przeczytaniu regulaminu hokejowego turnieju „Świata Młodych" zabraliśmy się ostro do roboty. Na placu gier i TPD przy ul. Króla Augusta zbudowaliśmy lodowisko, które nawet zgłosiliśmy do konkursu „1000 lodowisk". Ma ono pięknie pomalowane bandy, odpowiednią dekorację, własną radiofonizację i oświetlenie, a nawet szatnię. Stworzyliśmy też drużynę hokejową. Dzięki staraniom Zarządu Miejskiego TPD w Rzeszowie otrzymaliśmy sprzęt. Bezpośrednią opiekę nad nami sprawuje pani Z. Miazga i prezes TPD, pan J. Dziobak. Aura płata nam wciąż figle i z tej przyczyny rozegraliśmy zaledwie jeden mecz, z zespołem SP-8. Chcielibyśmy za pośrednictwem redakcji podziękować naszym dorosłym przyjaciołom za opiekę i sprzęt. Czekamy na lepszą pogodę i losowanie!

Marek Żabiński
i Wojtek Staszczyszyn
Rzeszów

SŁONIE W TAJLANDII GRAJĄ W PIŁKĘ NOŻNĄ I BIORĄ UDZIAŁ W WIELU KONKURSACH ZRĘCZNOŚCI

Niezwykle atrakcyjnym, barwnym widowiskiem jest spęd słoni organizowany corocznie w stolicy prowincji Surin w Tajlandii. Łączy się on z aukcją oraz próbami sił i zręczności słoni, m. in. z... grą w piłkę nożną. Zadziwiające jest jak te ogromne zwierzęta bardzo lekko w nią uderzają.

Tegoroczny spęd, w którym brało udział ponad 1000 słoni ze swymi mahoutami (opiekunami), oglądało wielu turystów, przybyłych nawet z odległego Bangkoku. Na zdjęciu widzicie słoniową próbę zręczności w noszeniu długich pali. Zdjęcie: CAF–AP

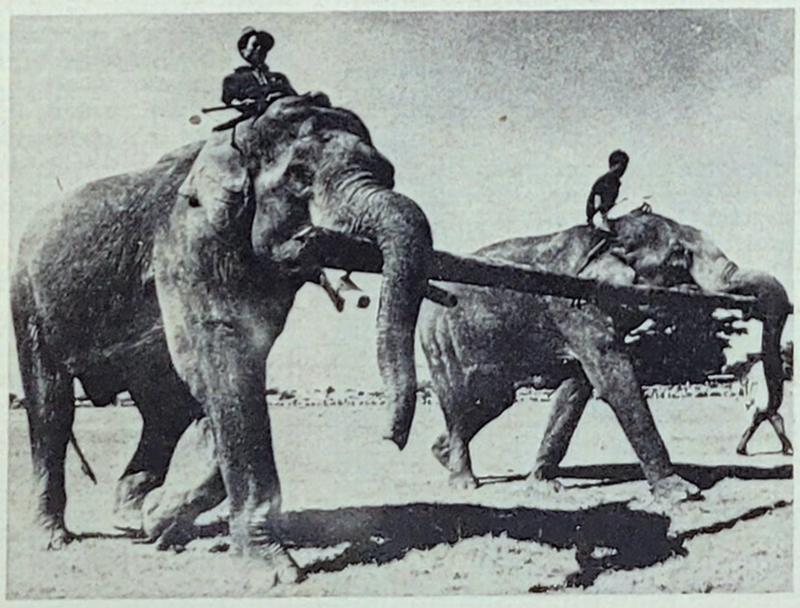

CZEKOLADA w cysternach

MOSKWA (PAP). W Związku Radzieckim zastosowano nową metodę transportu płynnej czekolady. Przewozi się ją w cysternach samochodowych, które posiadają bardzo dobrą izolację termiczną, tak, że przy różnicy 30 st. C, zmiana temperatury masy czekoladowej w ciągu 10 godzin nie przekracza 2 st. C. Nowa metoda transportu pozwoliła na wyeliminowanie ręcznego pakowania i dała spore oszczędności. (ej)

Dziś przedstawiamy:

Komunistyczna Partia Meksyku

Niedawno zakończył swe obrady XVII Zjazd Komunistycznej Partii Meksyku. Dokonano na nim oceny dwuletniej działalności, dzielącej KPM od poprzedniego zjazdu. Podjęto także decyzję o zgłoszeniu kandydata do lipcowych wyborów prezydenckich.

KPM została utworzona w 1919 roku. Przez szereg lat działała nielegalnie. W latach dwudziestych zjednoczyła ruch związkowy robotniczy i chłopski, a w następnych umocniła swoje wpływy wśród chłopstwa i klasy robotniczej. W tym czasie liczba jej członków wyniosła 20–25 tysięcy. Była inicjatorką szeregu reform społeczno-gospodarczych. Wiele z nich zostało zrealizowanych przez postępowy rząd prezydenta Cardensa, m. in. znacjonalizowano wówczas przemysł naftowy.

Przełomowym wydarzeniem w historii partii był XIII zjazd KPM, na którym komuniści odcięli się od współpracy i haseł rządzącej Partii Instytucjonalno-Rewolucyjnej. Partia ta, występując jako kontynuatorka linii rewolucji, w praktyce tych zamierzeń nie realizowała. Program jej zakłada konieczność dokonania nowej rewolucji – demokratycznej i socjalistycznej, a także przeprowadzenia reform.

Gospodarka Meksyku znajduje się pod silnym wpływem monopoli amerykańskich. W rękach kapitału USA znajdują się wiodące gałęzie gospodarki narodowej: przemysł elektroniczny, samochodowy, petrochemia. Pod kontrolą jest również przemysł spożywczy. Bardzo niskie płace powodują, że zyski monopoli są ogromne. 25 największych firm północnoamerykańskich osiąga w Meksyku zysk równy budżetowi państwa.

Drugą wielką bolączką jest rolnictwo. Tylko co druga rodzina chłopska ma ziemię – znakomita jej większość znajduje się w rękach latyfundystów. Taka struktura stosunków agrarnych sprzyja pogłębianiu nierówności w podziale dochodu narodowego. 5 procent najbogatszych obywateli tego kraju zgarnia aż 38 procent dochodu narodowego. Stąd program KPM podkreśla konieczność uniezależniania się od USA nie tylko w sferze politycznej (Meksyk był jedynym państwem, które wbrew uchwale o blokadzie Kuby podjętej przez OPA, utrzymywał z nią stosunki dyplomatyczne), ale także gospodarczej. Drugim ważnym zadaniem jest przeprowadzenie radykalnej reformy rolnej i ukrócenie władzy obszarników.

(bz)

Wszedł szybkim, energicznym krokiem, ręce pospiesznie wycierając w granatowy, roboczy fartuch.

— Kołak Stanisław jestem, ustawiacz na wydziale śrub tocznych — przedstawił się. Zamaszyście wyjął papierosy, zapalił i... tak rozpoczęła się rozmowa z jednym z najbardziej popularnych ludzi w warszawskiej Fabryce Obrabiarek Precyzyjnych „Awia".

POŻEGNANIE Z PRZEDMIEŚCIEM

URODZIŁEM się na Grajewskiej pod czwartym — zna pani?

A mnie się przypomniał klimat przedmieść starej Warszawy, znany z felietonów Wiecha czy starych piosenek warszawskich. Świat Franków, Felków, Hanek i innych bohaterek podwórzowych ballad, świat dintojry, majchrów, mojek, doliniarzy, ludzi żyjących na pograniczu prawa i bezprawia.

— To nie całkiem tak było — **uśmiechnął się, jakby odgadując moje myśli.** — Dla mnie Szmulki, gdzie się urodziłem i spędziłem swoje lata szczenięce, to był głodny czas. Kiedy człowiekowi lat przybywa, to wtedy czas, który minął, wydaje mu się lepszy. Ale ja dobrze pamiętam, że wtedy często chodziłem, myśląc o kawałku chleba. Bo i skąd było brać? Ojciec pracował jako brukarz, grosze zarabiał, a nas dzieci czworo było w domu. Ojciec zawsze marzył, że jak dostanie lepszą pracę, kilka złotych odłoży, to wróci do swojej wsi pod Siedlce. Kupi ziemię i będzie gospodarzył. Ale ja chłopak ze Szmulek jestem...

Przez to moje mieszkanie na Szmulkach, to mało co z kobietą się nie rozszedłem. Pracowałem wtedy w „Awii" dobre kilka lat, teraz to już będzie dwadzieścia pięć. Byłem i w Radzie Zakładowej, i w Komitecie Partyjnym. Z tej racji komisji mieszkania rozdzielałem. A trzeba wiedzieć, że my mamy własne bloki i u nas o mieszkanie stosunkowo łatwo. Sam wtedy mieszkałem na Woli i nim dojechałem po zebraniach, to była już późna noc. Moja kobieta w domu wtedy była, dziecko chowała, złościła się i krzyczała: — „Po zebraniach chodzisz, ludziom mieszkania dajesz, a my jak mieszkamy? W jednej klitce; ani obrócić się nie można, żeby o coś nie zawadzić. Sama cały dzień siedzę i nawet odezwać się nie mam do kogo!"

OD SŁOWA DO SŁOWA

U Kołaków rozpoczynała się awantura aż wstyd było przed sąsiadami. Nieraz Kołak, chcąc ratować swój męski honor, musiał walnąć pięścią w stół. Budziła się wtedy mała Ewa i matka zaniechując sporu z mężem leciała małą utulać. A Kołak wiedział swoje: „Awia" na Szmulkach bloki miała stawiać.

— I doczekałem się, mam ładny pokój z kuchnią 36 m kw. — **uśmiecha się, pewny swych racji.** — Córka na przedszkolankę się uczy, mówi, że przydałoby się większe. Ale mnie ono wystarcza, a ona niech się stara o inne, swoje gniazdo zakłada. Tylko że studiować dalej nie chce — **zabębnił nerwowo palcami po stole.**

— Rozum swój ma i przymuszać jej nie będę, ale szkoda. Oboje z żoną dobrze zarabiamy. W tym roku byliśmy pierwszy raz na wczasach zagranicznych. W Bułgarii, koło Warny. Nigdy nie myślałem, że czegoś takiego doczekam. A mój ojciec pewnie jeszcze bardziej. W dwudziestym ósmym roku z chałupy wygnała go bieda. Najmłodszy był w rodzinie i miejsca dla niego nie starczyło. Do miasta musiał pójść, brukarzem w Warszawie został.

Syn jego zaczynał jako pomoc tokarza. Potem kursy czeladnicze skończył, z wyróżnieniem nawet. Od dziesięciu lat Stanisław Kołak pracuje jako ustawiacz. Zmieniali się ludzie, ale i „Awia" nie była taka sama. Powstała w 1902 roku jako prywatna spółka produkująca silniki samolotowe. Stąd wzięła się nazwa „Awia". Wtedy, przed wojną, pracować tu, to było wyróżnienie — oznaczało uważanie u sąsiadów mieć, cieć się kłaniał, nawet gospodarz domu inaczej tamtych traktował, bo wiedział, że z komornem zalegać nie będą.

— Ale oni takich jak ojciec nie przyjmowali — **powiedział gniewnie. Czoło zmarszczył i twarz jego zrobiła się starsza...**

JA TU PRACUJĘ OD OSIEMNASTEGO ROKU ŻYCIA

Tu poznałem moją żonę — Zenonę. Myśmy się już postarzeli, tylko „Awia" odmłodniała. A jej produkcja cieszy się uznaniem nawet za granicą. Jeden z typów naszych frezarek zalicza się do światowej kolekcji wzorów technicznych. Dobrych ludzi mamy, robotę szanujących.

Większość z nich pracuje tu od czterdziestego czwartego. A wtedy był to pierwszy zakład uruchomiony na Pradze. W gazetach nawet pisali. Dobrzy są ludzie tylko trzeba umieć z nimi rozmawiać — **powiedział i widać było, że Kołak Stanisław autorytet w zakładzie posiada i zaufanie u ludzi ma.**

— Bo powiedzmy, jeśli wyczytasz ludziom cyfry, o ile powinna wzrosnąć produkcja, to sobie pomyślą, że od tego jest dyrekcja. Ale jeśli powiesz — musisz Franek wziąć się bardziej w garść, bo premia zagrożona — to ruszy ci z robotą z kopyta. Czasem do serca trzeba przemówić, a czasem... — **zawahał się** — żeby pani redaktor kobietą nie była, to bym wyjaśnił...

A jak się społecznie pracuje w zakładzie, to takich rozmów trzeba odbywać wiele. Jednemu wytłumaczyć, dlaczego mieszkania nie dostał, a każdemu wydaje się, że jego potrzeby są najpilniejsze. Z innym porozmawiać dlaczego ma tyle nieobecności. Ot, niedawno, jeden z naszych młodych przestał chodzić do szkoły przyzakładowej. Biorę chłopaka na piwo i pytam co słychać, jak robota leci? Ogródkami trzeba podchodzić, bo zatnie się taki i nic nie powie. Więc delikatnie z nim rozmawiam, aż się rozkręcił. I sam powiedział dlaczego. Dziewczyna go r... cila, pewnie nic nie warta. I chłopak ma głowę, pracow... chce, szkoły by pokończ... i inżynierem został. Wyb... maczyłem mu. Do szkoły z... czął chodzić, ale czy o ni... zapomniał, to nie wiem. Ró... ne problemy ludzie mają — **pokiwał ze zrozumieniem gł... wą.**

— Teraz na przykład jestem kontrolerem społecznym i muszę pamiętać, że ludzi wyposażenie ochronne mie... muszą, np. rękawice. Dyre... kcja pamięta o rzeczach wie... kich, ja muszę o małych. A ludzie teraz wiedzą, co im s... należy i domagają się swe... — **pochwalił, czując się cz... cią załogi, która prawa m... i potrafi ich wymagać.**

Zapalił wolno papierosa, poprawił się na siedzeniu, prostując na chwilę plecy.

— Problemy też w zakła... dzie mamy. Szatnię mam... zią, umywalnie do niczego, u... myć się porządnie nie moż... Stołówka też by się przyda... ła. Mnie tam nie, mieszkam... osiem minut drogi od „Awii" ale innym chłopakom. Dyre... kcja się tłumaczy, że pienią... dze są, tylko wykonawcy n... ma.

— Tak wyliczam jednym ciągiem nasze bolączki, bo u nas prawie na każdym zebra... niu partyjnym czy Rady Za... kładowej o tym mówimy.

U nas pracuje około tysiąc... ludzi. Jednych te sprawy d... nerwują więcej, innych mniej. Ale większość lubi z... kład. Całe rodziny u nas pra... cują. Ot, taki pan Kałuż... starszy człowiek, do emery... tury dochodzi, a jego dwóch synów tokarzami jest u n... Albo kolega Stanisław Kobu... pracuje jako sprzątacz, oprócz niego trzy córk... i dwóch zięciów. A i małżeń... stwa są. Weźmy chociaż mał... żeństwo Iwańczyków, ona w kadrach, on — kierown... przygotowania produkcji.

Przez okno widać było ludzi wychodzących z hal fabrycznych. Małe grupki łączyły się przy bramie w jeden wielki strumień, który wypływał na ulicę. Skończyła pracę pierwsza zmiana.

— Dla mnie „Awia" i Szmulki to całe moje życie. Tu się bawiłem jako dzieciak, na randki z dziewczynami chodziłem. Na moich oczach zmieniały się Szmulki, zmieniała się i „Awia".

Westchnął trochę jakby z żalem za przeszłością. Ja to odczytałam jako pożegnanie z przedmieściem.

BOŻENA ZWOLIŃSKA

Zdjęcia: J. Łopuszyński i archiwum

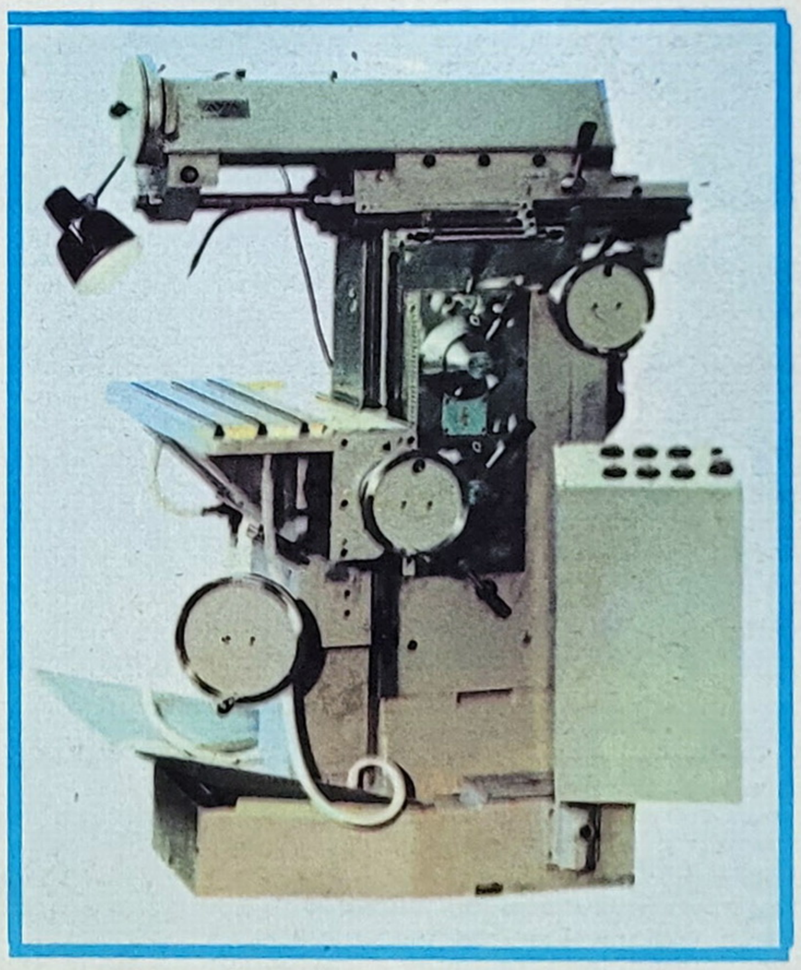

Różne bywały przyczyny wojen...

Różne bywały przyczyny wojen np. porwanie pięknej Heleny przez Parysa królewicza trojańskiego spowodowało trwającą przez wiele lat wojnę między Grecją a Trają; pretensje dynastyczne Karola Gustawa wywołały w Polsce tzw. potop szwedzki. Tym razem casus belli czyli przyczyną wojny jest dorsz, ryba skromna i nienadzwyczajna w smaku. A jednak właśnie ten dorsz spowodował zaostrzenie stosunku między Islandią a Wielką Brytanią, zagrażając także jedności w NATO.

Niemal od wieków połowy dorsza są podstawą gospodarki narodowej Islandii i bogactwem jej mieszkańców. Ten „kraj gejzerów" choć nie posiada zupełnie surowców naturalnych, i areał ziem uprawnych ma niewielki, zaliczany jest do 20 najbogatszych krajów świata. Oblicza się, że rybacy islandzcy łowią rocznie około miliona ton ryb, a różnego rodzaju przetwory rybne są głównym towarem w eksporcie. Dlatego też Islandia tak uporczywie walczy o prawo do zachowania dla siebie łowisk wokół wyspy.

Poszerzenie pasa połowu z 12 mil morskich do 50 mil, którą to decyzję podjęła Islandia w 1973 roku, spowodowało konflikt z Wielką Brytanią, określany często mianem „pierwszej wojny dorszowej". Obie strony doszły jednak wówczas do porozumienia. Brytyjczycy zgodzili się respektować 50-milową strefę w zamian za możliwość odłowu 130 tys. ton ryb rocznie. Mediatorem w tych rozmowach był sekretarz generalny NATO Josef Luns.

Obecnie Islandia rozszerzyła pas połowów do 200 mil morskich, proponując jednocześnie Wielkiej Brytanii zmniejszenie odłowu do 65 tys. ton rocznie Decyzję tę rząd islandzki motywuje tym, że rybołówstwo jest podstawą całej gospodarki kraju, podczas gdy Wielka Brytania rozwija wiele innych gałęzi przemysłu. Od miesiąca „druga wojna dorszowa" weszła w nowe stadium. W pierwszych dniach stycznia 40 islandzkich rybaków zablokowało drogę dojazdową do centrali komunikacyjnej koło wsi Grindawik, należącą do amerykańskiej bazy NATO (Islandia jak i Wielka Brytania są członkami tego paktu). Do podobnej demonstracji doszło również w miejscowości Rockville. Opinia publiczna Islandii uważa bowiem, że skoro NATO nie broni interesu wyspy w wojnie z Anglikami, to należy zażądać likwidacji baz wojskowych. Więcej, postanowiono, że Islandia zerwie stosunki dyplomatyczne z Londynem, jeśli w pasie 200 mil nie zostaną wycofane brytyjskie okręty wojenne. Byłby to zresztą pierwszy tego rodzaju przypadek między krajami członkowskimi NATO od czasu jego powstania.

Cała sprawa budzi wyraźny niepokój w kierownictwie Paktu — odbyło się nawet specjalne posiedzenie Rady NATO. Oznacza to bowiem — po sporze grecko-tureckim o Cypr kolejną „kłótnię w rodzinie", a także może spowodować likwidację bazy amerykańskiej. Baza ta roztacza kontrolę radarową nad całym północnym Atlantykiem. Sekretarz NATO J. Luns podjął się ponownie roli rozjemcy pomiędzy adwersarzami i Wielka Brytania okręty swe wycofała. Ale jaki będzie końcowy wynik tych negocjacji, to pytanie na które dziś nie ma jeszcze odpowiedzi.

Rys. H. Chmielewski

BOŻENA ZWOLIŃSKA

Przemysław Marzec pisze z Meksyku:

ZRĘCZNOŚĆ I ODWAGA czyli CHARRERIA

Paso de la muerte jest nie tylko najbardziej widowiskową, ale i najniebezpieczniejszą konkurencją.

Szczęściarz ze mnie! W czerwcu ubiegłego roku spełniło się moje marzenie — wyprawa do Meksyku.

Z Warszawy wystartowałem samolotem PLL LOT do Madrytu, tam — przesiadka na Jumbo-jet, czyli ogromny Boeing 747 i dalej już prościutko — z międzylądowaniem w Montrealu — na międzynarodowe lotnisko w... Mexico.

W Charreri biorą udział również dziewczęta. Oczywiście tylko w pierwszej, najprostszej konkurencji.

Zanim jednak „przeskoczyłem" Atlantyk, a później ujrzałem pod skrzydłem samolotu panoramę zwanego Paryżem Ameryki, 12-milionowego Mexico, przeżyłem chwilę grozy i zwątpienia, czy wyprawa dojdzie do skutku. Ni mniej, ni więcej tylko... zgubiłem paszport!

Madryckie lotnisko. Wylądowaliśmy. Jedziemy autobusem od samolotu do budynku portu. Sięgam do kieszeni i... Nic! Pusto! Wyobrażacie sobie?! Pierwsza myśl — żegnaj, Meksyku!

Nie warto opisywać wszystkich perypetii, w każdym razie ta niezaplanowana przygoda skończyła się szczęśliwie — paszport znalazł się pod fotelem w polskim samolocie. Ale było to dla mnie ostrzeżenie — podróżnik nie może być gapą!

STOLICA Meksyku. Lipiec. Upalny dzień. Jedziemy do Rancho Charro (czyt. Ranczo Czarro). Za godzinę odbędą się tu charreria (czyt. czarreria) — zawody w narodowym sporcie Meksykańczyków.

Rancho znajduje się przy malutkiej uliczce, lecz każdy mieszkaniec stolicy zna to miejsce. Poniżej widowni — ogromny plac w kształcie koła; tu popisują się jeźdźcy. Prostokątny korytarz łączy go z corralem (korralem), czyli podwórzem, gdzie zawodnicy przygotowują się do występu. Zawsze najciekawsze są kulisy. Zamiast więc na widownię, biegnę właśnie tam.

Chłopak w wieku około 13 lat ćwiczy się w rzucaniu lassem. W ręku trzyma linę, miarowym ruchem obraca ją i śmieje się. Czytam w przewodniku: *„Lasso służy do chwytania zwierząt, wymaga dużych umiejętności"*. Z podziwem obserwuję chłopca. Moją uwagę przykuwa specjalne siodło, używane przez charros (czarros) — hafty ze złota i srebra! Oczywiście, żaden charro nie używa takiego siodła codziennie. Dalej starszy człowiek. Trzyma machetę (maczetę). Ten długi jak miecz nóż służy tu do torowania ścieżek przez zarośla. Bywał i groźną bronią.

DOCHODZI dwunasta. Dzisiaj startują zawodnicy w kategorii do lat 15. Rozlega się rytmiczna meksykańska muzyka. To sygnał.

Z corralu wyjeżdżają wszyscy uczestnicy. Parada jeźdźców przed hałaśliwą publicznością. Oklaski. Uczestnicy opuszczają plac. Zaraz zawody.

Jest pierwszy! Galopuje w stronę placu. Mocno trzyma uzdę. Ocenia sytuację. Zdecydowanym ruchem zatrzymuje konia. Zwierzę ryje kopytami w piasku. Chłopiec robi błyskawiczny zwrot i paraduje przed widownią. Sędziowie bacznie obserwują ruchy konia i jeźdźca. Notują.

Następny, następny, następny...

Słońce przypieka, kryję się pod dachem trybuny. Czytam w przewodniku: *„Historia charrerii sięga dalekiej przeszłości. Niektóre źródła podają, że wywodzi się ona z Salamanki, z Hiszpanii. W Meksyku, po najeździe konkwistadorów — podstępnych zdobywców Południowej Ameryki — przyjęła się bardzo szybko. Sprzyjały temu warunki klimatyczne, niemal hiszpańskie ukształtowanie terenu i temperament mieszkańców. Pierwsi meksykańscy charros byli kurierami wicekrólów Hiszpanii"*.

KOLEJNA konkurencja. Wjeżdża pierwszy zawodnik. Z drugiej strony wypuszczają na plac byka. Byk jak byk — potężne rogi, ogromne cielsko — zachowuje się niespokojnie, ogląda się. Chłopiec galopuje. Przygotowuje lasso. Mijając byka rzuca linę. Celnie — ujarzmia mu nogi! Teraz musi przewrócić zwierzę. Ostrożnie podjeżdża do podrażnionego kolosa, błyskawicznie chwyta zwierzę za ogon i przewraca na ziemię. Uśmiecha się triumfalnie. Z trybun rozlega się przeciągły ryk aprobaty.

Wypuszczają drugiego byka. Z obłoku kurzu wyłania się następny zawodnik. Lasso rzucone, lecz byk unika pętli i lawiruje. Charro nie daje za wygraną, galopuje. Przyspiesza jeździec, przyspiesza i byk. Zdezorientowane zwierzę przeskakuje półmetrowy mur i niespodziewanie znajduje się w wewnętrznym korytarzu przeznaczonym dla widzów. Publiczność siedząca wyżej wybucha śmiechem. Nie każdemu jednak do śmiechu, a na pewno nie widzom z dołu, którzy w popłochu uciekają. Byk przeskakuje z powrotem. Tu już czeka go celna lina ambitnego charro.

NIE każdemu się udaje. Kończy się przedostatnia konkurencja. Teraz odbędzie się „paso de la muerte" (gonitwa śmierci) — najbardziej widowiskowa konkurencja.

Charro wsiada na wierzchowca bez siodła. Galopuje ostro na spotkanie z nieujeżdżonym koniem. Wypuszczony na plac źrebak wierzga, strzyże uszami. Na plac wjeżdżają jeszcze dwaj charros, podjeżdżają do biegającego niespokojnie konia. Źrebak przyspiesza bieg i przechodzi w galop. Chłopcy ścigają go. Główny charro wysuwa się naprzód. Nieujeżdżony koń pędzi jak szalony. Chłopiec przyspiesza i równa się z uciekinierem. Wykorzystuje najdogodniejszy moment, w szalonym pędzie przeskakuje na „dzikusa" i kurczowo trzyma się jego grzywy. Zwierzę próbuje zrzucić jeźdźca, staje dęba. Widzowie oklaskują niezwykłe wyczyny młodego chłopca.

Zastanawiam się, w jaki sposób charro zsiądzie teraz z rumaka. Koń galopuje. Jeździec uchwytem za grzywę kieruje źrebaka na barierę. Zwierzę hamuje przed przeszkodą, a chłopiec wykorzystuje ten moment i zeskakuje. Burzliwe oklaski nagradzają zręczność i spryt młodego Meksykańczyka.

CHARRERIA kończy się zawsze meksykańskim tańcem ludowym. Na prowizorycznej estradzie przewija się folklor Oaxaci, Veracruz... Jurorzy ogłaszają werdykt. Oklaski i okrzyki kończą imprezę. Plac pustoszeje. Widzowie gorączkowo komentują poszczególne gonitwy. Będą mieli o czym mówić do następnej charrerii.

Zdjęcia czarno-białe: **autora**
Zdjęcie kolorowe: **archiwum**

REDAKCYJNA POCZTA

WYGRAŁ!

Nie należę do brzydkich dziewcząt, ale na zabawach nigdy nie miałam powodzenia. Z zazdrością patrzyłam na koleżanki, które choć wcale nie ładniejsze ode mnie, miały „wzięcie" u chłopaków. Wiem, że chłopców odstraszała moja pochmurna mina; bali się, że nie będę chciała z nimi tańczyć. Mimo tej wady poznałam Pawła. Na pierwsze spotkanie przyszłam jak zwykle pochmurna i nadąsana. Ale już po chwili szczerze się uśmiechałam. Nie wiem, co się ze mną stało, ale wracając do domu całą drogę śpiewałam. Mama nie mogła się nadziwić zmianą mojego charakteru. Koleżanki chętniej teraz ze mną rozmawiały. Byłam szczęśliwa! Paweł okazał się wspaniałym chłopakiem. Wyznał mi szczerze, że zaczął mnie podrywać, bo... się założył! Jego koledzy twierdzili, że na pewno dam mu kosza. I w ten sposób on znalazł dziewczynę, jaką chciał mieć, a ja całkowicie zmieniłam swoje życie. Jestem najszczęśliwszą dziewczyną pod słońcem.

„Piętnastolatka"

JESZCZE O ŁADNYCH DZIEWCZYNACH

Przed kilku tygodniami w „Poczcie" trwała dyskusja na co u dziewcząt zwracają uwagę chłopcy. Wiele osób twierdziło, że chłopcy widzą tylko szałowo ubrane piękności. Ale przecież brzydkich dziewcząt nie ma! Są tylko dziewczyny nudne, z którymi nie ma o czym rozmawiać. Takie myślą tylko o tym, jak zwrócić uwagę otoczenia, czym jeszcze „wystrzelić", aby pokonać rywalki. Chłopcy dają się na to nabrać, ale szybko rezygnują ze znajomości z takimi pannicami. I bardzo dobrze, bo to tylko świadczy o ich inteligencji. Chłopcy nie są tacy głupi i tylko na słodkie oczy nie dadzą się długo nabierać.

Ben

Stanisław Szwajkowski, 57-420 Radków, lat 15, nawiąże kontakt z osobami uczącymi się grać na akordeonie.

UPOMINEK

Dość dawno poznałem dziewczynę, która bardzo mi się podobała. Chciałem zawrzeć z nią bliższą znajomość, lecz jestem nieśmiały i nie miałem odwagi jej tego wprost powiedzieć. Przed świętami wysłałem jej drobny upominek. Ona po otrzymaniu prezentu wyśmiała mnie i powiedziała, że „szukam łatwego łupu". A przecież chciałem jej zrobić przyjemność! Czy wszystkie dziewczyny są takie?

Mirek z Kościana

TO BYŁ ŻART!

Nie mam pojęcia co znaczyło zdanie w artykule „Jak zostać królową balu" (świąteczny „ŚM"). Było tam napisane, że aby mieć najdłuższe rzęsy, trzeba codziennie chodzić na nich i ćwiczyć skłony. Czy to żart, czy rzeczywiście tak jest? Wraz z koleżankami zastanawiałyśmy się, czy to rzeczywiście pomaga?

Ewa Z.

Od redakcji: List Ewy traktujemy jako żart. Bo chyba nikt nie ma wątpliwości, że stanie na rzęsach jest trochę trudne!

Moja znajoma, Grażyna, ma, zdawałoby się, hobby dość banalne – książki. Często widujemy ją uganiającą się po księgarniach czy bibliotekach w poszukiwaniu nowości. Rodzice, widząc ogromną dążność ich córki do wiedzy – tak im się przynajmniej wydaje – nie żałują na ten cel pieniędzy, dziwiąc się po cichu chłonności jej umysłu. Statystyki, sumiennie przez nią prowadzone wykazują bowiem, ile w danym tygodniu „zaliczyła" książek. Osiągnięcie zaś jak największej liczby pozycji w tygodniu – to punkt honoru Grażyny.

Kiedyś nawet po cichu podziwiałyśmy ją, zwłaszcza gdy podczas dyskusji na tematy literackie wtrącała często: „A ja to mam w domu". Lub: „Niedawno to właśnie kupiłam". Nigdy jednak: „Czytałam to właśnie". Ta podejrzana erudycja Grażyny zainspirowała mnie do zbadania kulis tej sprawy. I oto do jakich doszłam wniosków:

Skrzętnie odkurzała ich grzbiety

To prawda; biblioteczka mojej koleżanki pęka w szwach! Ale na tym się wszystko kończy. Bo hobby Grażyny nie jest czytanie książek, ale – posiadanie ich, co stanowi istotną różnicę. No, a książki wypożyczone, zapytacie? Proszę bardzo: Grażyna cieszy się, gdy na swoim biurku widzi (co najważniejsze, widzą też inni) pokaźny stosik książek z trzech (!) bibliotek. Te zaś (książki) są pilnie rejestrowane w specjalnym zeszycie: tytuł, autor i, oczywiście, ilość stron! Ale to jeszcze nie wszystko. Trzeba bowiem dodać, że przez jej ręce przechodzą (niestety, tylko – przechodzą) wyłącznie książki **wybitne!** Ot, chociażby jej ostatnie „szaleństwo" na punkcie siedmiu tomów Prousta.

Ponieważ Grażyna, oprócz innych zalet, ma ogromną ambicję, nie mogła sobie darować, że inna z koleżanek powiększyła swój księgozbiór o tę pozycję. Wobec tego Grażyna postanowiła nie być gorsza.

Ostatnio miałyśmy okazję przekonać się, że te siedem tomów Prousta naprawdę są imponującą o z d o b ą na półce i rzeczywiście mogą budzić zazdrość... Wiecie, co mi powiedziała w sekrecie? Że nic innego nie chciałaby robić, tylko czytać, czytać, czytać... Że na nic innego nie chciałaby wydawać pieniędzy, tylko na książki!

Wydaje nam się, że to drugie marzenie Grażyny jest bardziej realne, zaś co do pierwszego... Długo chyba przyjdzie czekać na dzień, w którym Grażyna przestanie książki tylko **zbierać,** bo chociaż każdy ma prawo do swego konika, to jednak żal mi i Grażyny, i... książek.

IWONA LISEK

WARSZAWSCY TROPICIELE PTASICH TAJEMNIC

ZANIM jeszcze powstał nasz Klub Ptakolubów, w Warszawie przy ul. Staffa istniał już Klub Ornitologów, posiadający nawet własną pieczątkę. Założył go Paweł Ogłęcki, obecny prezes, uczeń piątej klasy Szkoły Podstawowej Nr 162 im. Ignacego Domeyki. Paweł interesuje się przyrodą od trzech lat, już w trzeciej klasie założył dziennik obserwacji. Z początku notował w nim wszelkie spostrzeżenia związane ze światem istot żywych, potem jednak postanowił wyspecjalizować się w ornitologii. Ciekawe tereny są pod bokiem. Kiedyś z okna swojego pokoju pełniącego też funkcję siedziby klubu oglądał... sokoła wędrownego. Pobliski park Olszyna odwiedzają: jery, pustułka, śniegula, a nawet sowa pójdźka.

Nic więc dziwnego, że ptakami zainteresowali się także inni: Witek Gorzelski i Piotr Bulas (dziś wiceprezesi klubu), a z czasem liczba członków wzrosła do ośmiu. Tylko dziewczyny bojkotują działalność klubu uważając ją za niepoważną.

SPOTKANIE Z ZIMORODKIEM

Prezes proponuje wyprawę ornitologiczną – dziesiątą w dziejach klubu. Niedawno nad jeziorkiem przy Alei Słowiańskiej chłopcy wypatrzyli zimorodka. Paweł zaznaczył na szkicu stałe miejsca, w których lubi przysiadać ten ptak. Ale czy dziś szczęście dopisze? Dzień – jak na tegoroczny styczeń – nietypowy: słońce, śnieg i 10-stopniowy mróz. Aparat fotograficzny trzeba chować za pazuchę, żeby nie zamarzł.

Na brzegu pokrytego lodem jeziorka i na wyspie ani śladu zimorodka. Witek wspomina młodą sowę śnieżną, która się tu zatrzymała w ubiegłym roku. Gościło też nad jeziorkiem stadko mysikrólików. Nagle mignął w powietrzu błękitny przecinek. Przysiadł na chwilę na gałązce, rozejrzał się i... odleciał.

Będzie karmnik!

Na szczęście niedaleko. W miejscu, gdzie strumyk wypływa z jeziorka, nie ma lodu. Tam zimorodek urządził łowy. Raz po raz z kamienia skok do wody. Błyskawicznie wyciągał zdobycz w postaci małej rybki. Odfrunął, nim zdążyliśmy nacieszyć się jego widokiem.

– A może spotkamy zimorodka w Olszynie? – rozmarzył się Sławek Czajkowski. Co prawda nikt go tam jeszcze nie widział...

Nazywanie skrawka olszynowego lasku parkiem zakrawa na przesadę. Nie tak dawno był to zupełnie dziki mały ptasi raj. Chłopcy zbudowali sobie w nim nawet szałas do obserwacji ptaków. Pozostały po nim tylko mizerne szczątki. Podpalili go chuligani – dobrze, że cały lasek nie poszedł z dymem. Nad strumieniem, przecinającym Olszynę, mignął nam zimorodek. Sprawdziła się przepowiednia Sławka. A dalej, na śniegu ślady...

– Tak, to na pewno bażant – wykrzykuje Sławek. Widać, że ciągnął ogon po ziemi. Trochę kluczył wśród drzew, a potem wzbił się w powietrze. O, tu są odciśnięte na śniegu lotki. Pewnie pofrunął w stronę trzcinowiska. Tam właśnie – na krańcu Olszyny – mają bażanty swoją siedzibę. Niecałe 300 metrów od najbliższego bloku! Aż trudno uwierzyć, że w tym mini-parku gościł niedawno kruk.

– Może to był młody gawron – sugeruje nieśmiało.

– Skądże! Zakrzywiony dziób, potężne skrzydła – protestuje prezes. Paweł uważa, nie bez racji, że ptaki chronią się do miasta przed myśliwymi.

OBSERWOWAĆ MOŻNA WSZĘDZIE

Każdy z członków Klubu Ornitologów prowadzi też obserwację na własną rękę. Witkowi udało się sfotografować sokoła krążącego nad laskiem młocińskim. Paweł Chmielewski podczas pobytu u babci w Radości k. Warszawy był świadkiem polowania jastrzębia gołębiarza. Drapieżnik zjawił się na podwórku, gdy domownicy siedzieli przy obiedzie. W okamgnieniu porwał kurczaka i zniknął, fruwały tylko pióra...

Niezapomnianym przeżyciem dla Pawła Chmielewskiego był widok... orła bielika krążącego nad jedną z dolin tatrzańskich. 2,5-metrowa rozpiętość skrzydeł, wspaniały wachlarzowaty ogon! Bieliki są pospolite na Wolinie, ale w górach spodziewał się spotkać raczej orła przedniego. Natomiast prezesowi udało się kilkanaście razy zaobserwować tego królewskiego ptaka w Chłapowie k. Władysławowa.

W czasie wakacji Paweł zazwyczaj prowadzi obserwacje ornitologiczne w Koźniewicach, 20 km od Bełchatowa. Wymarzony to teren dla ptaków: lasy, łąki, rzeczka. Nic też dziwnego, że oglądał tam m. in. głuszca, cietrzewia, orlika, puchacza a nawet przelotnie tu goszczącego batalionа i bociana czarnego. Prezes marzy jeszcze o tym, by zobaczyć niezwykle rzadkiego orła włochatego.

ORLIKI NA SOŚNIE CZARNIECKIEGO

Swój własny ptasi raj ma także wiceprezes Piotrek Bulas. 23 km od Lublina jest wieś Gardzienice. Domy stoją tylko po jednej stronie drogi: dalej pola, rozległe łąki, rzeczka i las. A w lesie jeziorko tak ukryte w gęstwinie, że nie wszyscy wiedzą o jego istnieniu. A można tam zobaczyć nawet gęś zbożową. Piotr spotkał w tej okolicy cietrzewie, głuszce, bekasy, kuliki wielkie, a raz nawet ochary. We wsi jest pałacyk, który podarował król Jan III Sobieski Stefanowi Czarnieckiemu. W pobliżu dworku stoi waląca się oficyna dla służby. Jej dach porastają już młode drzewka. W licznych jej zakamarkach znalazły schronienie nietoperze i sowy. Sowa uszata gnieździ się także w zabytkowej kuźni. A na wyniosłej sośnie, którą podobno zasadził sam hetman, mieszkają orliki. Mają tam wymarzony spokój.

Interesujące obserwacje poczynili młodzi ornitolodzy na wycieczce w Kampinosie. W okolicach Sierakowa napotkali dwie sowy śnieżne – jak się okazało na wpół oswojone. Leśniczy opowiadał, że pożywiają się razem z kurami...

COŚ DLA SKRZYDLATYCH PRZYJACIÓŁ

Nie tylko obserwacjami ptaków żyją członkowie klubu z ul. Staffa. Niosą również pomoc skrzydlatym przyjaciołom. Witek Gorzelski znalazł kie młodego gołębia tonącego w kałuży. Wyratow ptaka i troskliwie się nim zajął.

– Zaobrączkowaliśmy Peryskopa (tak nazwali naszego gołębia), żeby sprawdzić czy się do przywiązał. Rzeczywiście! Przylatywał często na pet, siada mi nawet na teczce, gdy idę do szkoły.

Witek jest głównym technikiem klubu. To on opracowuje projekty budek i karmników, które pot budują wspólnymi siłami. Wszyscy także dokarmi ptaki na swoich własnych parapetach oraz w szynie. Niestety, ocalał tam tylko jeden karm Więcej jest chuliganów niż ptakolubów! Chło zrobili 20 budek lęgowych. Mają w planie budo następnych, lecz nie chcą by podzieliły one karmników. Postanowili więc przeprawić się na spę po środku jeziorka i tam je zainstalować.

Miłośnicy ptaków zrzeszeni w klubie przy Staffa zasłużyli na przyjęcie do Klubu Ptakolubó Z radością witamy nowych członków: Pawła Ogł kiego, Witka Gorzelskiego, Piotrka Bułasa, Sław Czajkowskiego, Pawła Chmielewskiego, Janusza mieńskiego, Huberta Korzeniowskiego i Kubę dzika.

MARIA WRÓBLEWS
Zdjęcia: Marek Szyma

Prezes Paweł Ogłęcki (w okularach i czerwo swetrze) demonstruje kolegom swojego bażanta. prawej: Janusz Kamieński, Hubert Korzeniowski, P wel Chmielewski, Piotrek Bulas.

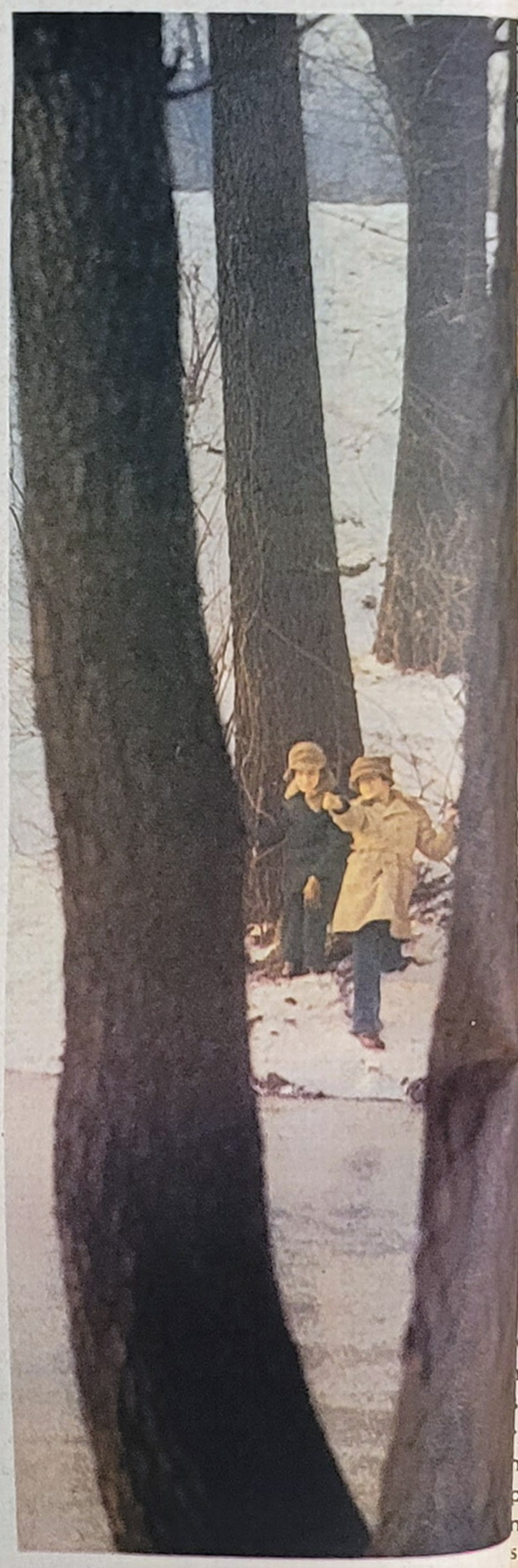

To nad tym jeziorkiem poluje zimorodek.

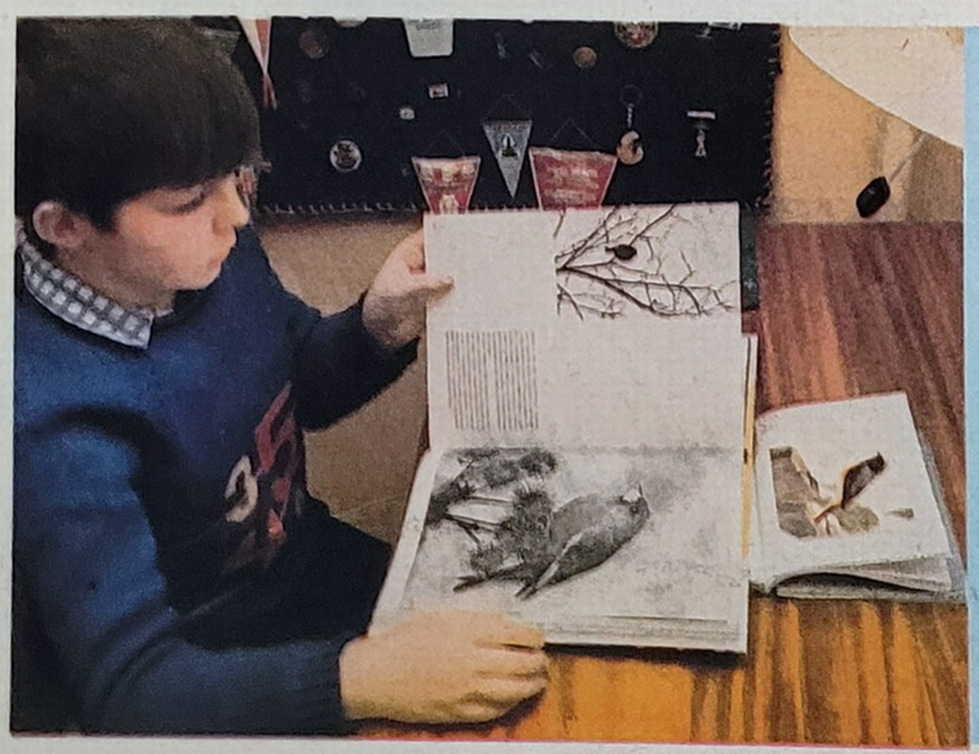

Z bogatej biblioteki ornitologicznej Pawła Ogłęckiego korzystają wszyscy członkowie klubu.

GDZIE IGŁA Z NITKĄ UCZĄ SIĘ TAŃCZYĆ

UMIEJĘTNOŚĆ posługiwania się igłą jest czymś bardzo cennym i potrzebnym każdemu. „Robię z igły widły" – powiecie. Ależ nie, wcale nie przesadzam! Troska o godziwy przyodziewek towarzyszy człowiekowi od najdawniejszych czasów, a igła jest właśnie jednym z najstarszych ludzkich wynalazków. Nasi przodkowie używali do szycia kości i rybich ości, które z czasem zastąpione zostały przez igły z rogu, drzewa, brązu, miedzi i żelaza.

Igła była zresztą uważana za przedmiot niezwykle cenny i drogi aż do połowy XIX wieku. Wtedy to bowiem zaczęto produkować je fabrycznie i wtedy też przyjęła się wreszcie wynaleziona w 1755 roku maszyna do szycia. Dla zgubionej igły warto było niegdyś przerzucić stóg siana, a igielniki, w których je przechowywano, były prawdziwie cennymi i wspaniale zdobionymi cackami. Lecz choć obecnie ludzkie ręce zastąpiły elektryczne maszyny do szycia – „taniec igły z nitką" trwa nadal!

Zapraszam Was dzisiaj do szkoły, którą wybierze może ktoś z Was, kto w tym karnawale, szykując sobie balową kreację, odkryl w sobie zdolności krawieckie i postanowił obrać ten jeden z najstarszych i najniezbędniejszych zawodów świata!

60 lat – jak obszył!

Tyle lat liczy już sobie Szkoła Odzieżowa im. Natalii Gąsiorowskiej w Warszawie. Jej ogromny, przedwojenny jeszcze gmach przy ul. Kazimierzowskiej znany jest wszystkim mieszkańcom Mokotowa.

Przez 60 lat swego istnienia szkoła kształciła bowiem dla stolicy fachowców w zawodach takich jak: introligatorstwo, galanteria skórzana, zabawkarstwo, tkactwo, koronkarstwo, haft, bieliźniarstwo, czapnictwo, tapicerstwo, kwiaciarstwo, gorseciarstwo, gastronomia, farbiarstwo, pralnictwo i oczywiście krawiectwo ciężkie i lekkie, które obok dziewiarstwa maszynowego jest dzisiaj jej specjalnością. Rekord pobity został w roku 1961, kiedy to szkoła-kombinat miała aż 39 różnych oddziałów, a raczej podległych jej osobnych szkół zawodowych.

Nikt by więc chyba tego wszystkiego nawet nie spamiętał, gdyby nie pieczołowitość szkolnych kronikarzy, przywiązanie do tradycji, objawiające się tu w uroczystych jubileuszach, w izbie pamiątek stanowiącej prawdziwe muzeum! Pamiętają tu i o Złotym Medalu zdobytym przez wyroby uczniów na wystawie w Paryżu w latach trzydziestych i o skromnych początkach – kiedy to prywatna Zawodowa Szkoła Rękodzielnicza Żeńska, założona w 1915 r. przez Marię Bratkowską, była instytucją na poły charytatywną, utrzymującą się ze składek towarzystw dobroczynnych. Sieroty i dziewczęta z ubogich rodzin oprócz zawodu – czyli „chleba do ręki na przyszłość" – otrzymywały w niej także „talerz zupy i kromkę chleba na dziś". Tak, właśnie dziewczęta! – bowiem dzieje tej szkoły to historia warszawskiego szkolnictwa zawodowego dla dziewcząt. To one uczyły się tu przede wszystkim, to ich jest dziś tutaj najwięcej! W szkole, która już przed wojną otrzymała status średniej, własny gmach i dumną nazwę: 1 Miejska Szkoła Żeńska w Warszawie! Nazwę tę zapamiętało dobrze wielu uczniów... liceów ogólnokształcących, w których nauka była w czasie okupacji zabroniona przez Niemców. Wojna to niezwykle chlubny okres w dziejach szkoły. Mimo wysiedlenia z budynku zajętego przez SS, szkoła ukrywała działalność aż 9 znanych liceów warszawskich, które Niemcy zlikwidowali. Legalna – jako ucząca tylko zawodu – faktycznie była I Miejska Szkoła Żeńska ogromnym konspiracyjnym „ogólniakiem", w którym młodzież zdobywała matury, chroniona przed wywiezieniem na roboty do Rzeszy, legitymacjami szkoły zawodowej. Wydawała ich rocznie aż 2 tysiące!

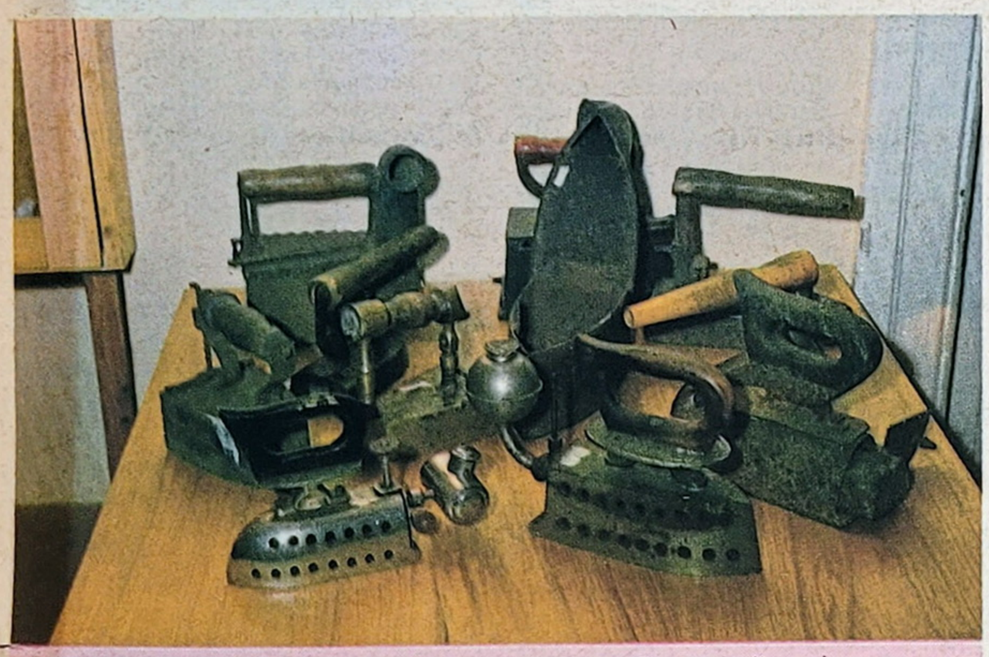

Kolekcja starych żelazek ze szkolnego muzeum. Do tradycji swojego zawodu odnoszą się tu z szacunkiem.

Prezentowane spódnica i bluzka wykonane zostały przez same uczennice.

Tak krawiec kraje, jak mu... czasu staje

– W tym roku szkoła otrzymała Medal Komisji Edukacji Narodowej. To chyba nie tylko uznanie dla jej przeszłości? – zaczynam rozmowę z obecnymi uczennicami.

– Pewnie, że i my mamy się czym pochwalić! – odpowiadają dziewczęta – współpracowałyśmy już z najsłynniejszymi zakładami odzieżowymi w kraju: z „Corą", „Ledą", „Modnym Strojem", „Modą Polską", „Ambasadorem". Projektowane i szyte przez nas ubrania sprzedawane są w warszawskich sklepach, a „Modny Strój" zakupił kiedyś całą kolekcję wraz z dokumentacją i prezentował ją na Targach Poznańskich.

– Ostatnio w domu towarowym „Junior" nasze kreacje „szły jak woda" i ekspedientki musiały zdejmować je z wystawy !

– A nie możecie szyć ich więcej?

– Produkcja jest tylko naszą uboczną działalnością – przede wszystkim musimy się uczyć, poznawać wciąż coś nowego – nie mamy czasu na „powtarzanie się"!

– A czy ja mógłbym sobie coś u was uszyć? Tylko w jednym egzemplarzu?

– Tak, ale musiałby pan bardzo długo czekać. Mamy mnóstwo zamówień, a „tak krawiec kraje jak mu... czasu staje". Bo czas krawca jest dzisiaj droższy od najwspanialszej „materii".

– Jak wobec tego znajdujecie jeszcze czas i siły na działalność społeczną, z której szkoła słynie? Odwiedzacie przecież domy rencistów, w których prowadzicie bezpłatne usługi krawieckie, opiekujecie się domami dziecka, organizujecie pokazy mody i pomagacie w sprzątaniu remontowanej „na raty" szkoły. Sam widziałem całą klasę wiórkującą z zapałem korytarz...

– Najważniejsza jest dobra organizacja pracy: u nas wszystko musi być wcześniej „zapięte na ostatni guzik!". Mamy zresztą doświadczenia. Nasze letnie hufce OHP już drugi rok z rzędu uznane zostały za najlepsze w całej Polsce!

– Listonosz wciąż przynosi mi podziękowania dla dziewcząt od różnych osób i instytucji – wtrąca przysłuchujący się naszej rozmowie dyrektor Jerzy Chojnacki – a ja często nawet nie wiem, że one znowu się czymś tam zajęły!

Nie tylko spod igły

– Dlaczego wybrałyście ten zawód? – pytam uczennice Technikum Modelarskiego.

– Lubię sobie coś sama uszyć – coś innego niż noszą wszyscy...

– To takie odwieczne kobiece zamiłowanie do upiększania siebie i bliskich, zdobienia wszystkiego dookoła... Projektowanie odzieży to przecież tworzenie części otaczającego nas piękna – takiego jak piękno architektury, dzieł sztuki, czy reklam. Ubrania pozwalają wyglądać nam wciąż inaczej, kolorowo i wesoło.

– A mnie pociąga historia ubiorów i szycie aktorskich kostiumów. Absolwenci naszej szkoły chętnie są przyjmowani do pracowni krawieckich teatrów, filmu i telewizji.

– Ja chcę po prostu mieć potrzebny ludziom fach. A i nie będąc projektantką mody muszę mieć oryginalne pomysły, dobry gust i smak.

Często się słyszy, jak klientki chwalą krawcową, która umiała im doradzić, zmienić coś w ich kreacji, dopasować ją do ich sylwetki i upodobań. Dobra krawcowa musi też umieć nie tylko szyć i projektować. Powinna znać również nowe technologie i właściwości materiałów. Bez tego trudno by jej było cokolwiek wymyślić! Dlatego tak cenne są dla nas praktyki w dużych zakładach i spółdzielniach.

– A czy praca w wielkim zakładzie, gdzie często wykonuje się podobne do siebie detale, nie jest nudna?

– W każdym zawodzie grozi popadnięcie w rutynę i nudę. Ale w naszym rzadsza jest ona, niż w innych. Bo gdy nauczymy się już czegoś, opanujemy technologię jakiegoś wyrobu – nagle „tup, tup, tup" – i już ten fason wychodzi z mody!

– No, a już największą satysfakcją krawcowej jest gdy zobaczy, tak jak niedawno ja na balu sylwestrowym, panią paradującą z dumą w sukni... która wyszła spod mojej igły i sprzedana została w sklepie.

JULIUSZ GOSTKOWSKI

Zdjęcia: Jacek Łopuszyński

Chłopców w szkole jest coraz więcej, lecz nadal giną jeszcze w tłumie dziewcząt. A przecież historia zna wielu słynnych krawców mężczyzn!

DLA TYCH KTÓRZY LUBIĄ DZIECI

CO DALEJ ÓSMA KLASO

ZAWÓD nauczycielki — nauczyciela przedszkola i innych placówek wychowania przedszkolnego (domy małego dziecka, ogniska TPD) można zdobyć kończąc 6-letnie Studium Wychowania Przedszkolnego.

Do szkoły przyjmowani są absolwenci szkół podstawowych, którzy nie przekroczyli 17 lat życia, interesują się małymi dziećmi, mają dobry stan zdrowia, uzdolnienia muzyczne i plastyczne oraz cechują się odpornością psychiczną. Chłopcy również mogą starać się o przyjęcie na studium!

Nauka w studium jest bardzo ciekawa. Obok wielu praktyk w przedszkolach (w ostatnim roku praktyka jest płatna), uczniowie zdobywają wiedzę z pedagogiki, psychologii, socjologii wychowania, filozofii, biomedycznych podstaw rozwoju człowieka. Obowiązkowa jest także nauka dwóch języków obcych, a można dodatkowo uczyć się jeszcze trzeciego. Wiele zajęć poświęconych jest plastyce, muzyce i sportowi. W ciągu 6 lat nauki każdy uczeń opanowuje grę na jakimś instrumencie.

Nauka kończy się egzaminem dyplomowym. Dyplom daje prawo do pracy w przedszkolu i innych placówkach wychowania przedszkolnego przy zaszeregowaniu do grupy nauczycieli posiadających studium nauczycielskie. Tak więc nauczycieli przedszkola obejmują wszystkie prawa i obowiązki wynikające z Karty Nauczyciela. Dyplom uprawnia także do ubiegania się o wstęp na wyższe studia. W tej chwili czynnych jest około 30 Studiów Wychowania Przedszkolnego. Większość posiada internaty. Dokładne adresy można znaleźć w „Informatorze dla kandydatów do szkół zawodowych na podbudowie szkoły podstawowej".

(kp)

Kiedyś spiker radiowy powiedział: „większość sonat". Ja uważam, że powinien powiedzieć „większość sonetów", a moja koleżanka, że „większość sonatów". Kto ma rację?

Staś ze Świętna

Racji na pewno nie ma koleżanka, bo to, co zaproponowała, jest absolutnym popłataniem dwóch wyrazów. Te wyrazy to: **sonet** i **sonata. Sonet** — jest utworem literackim („Sonety krymskie" A. Mickiewicza), a **sonata** — muzycznym.

Myślę, iż spiker mówił o utworach muzycznych, bo gdyby chodziło o wiersze, powiedziałby „większość sonetów".

Interesuje mnie biernik od rzeczownika królowa. W pewnej książce pisało: „Wkrótce też została ukoronowana na królowę". Ja jednak sądzę, że powinno być „ukoronowana na (kogo? co?) królową".

— Marta

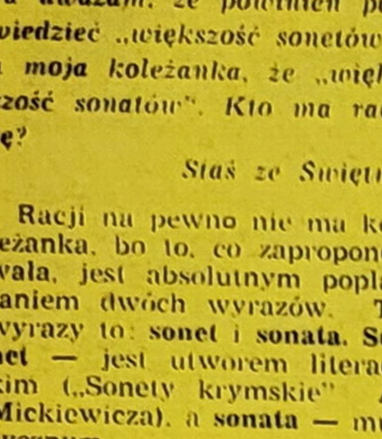

Słusznie, bo królowa — choć jest rzeczownikiem — odmienia się jak przymiotnik. Wiele osób ma trudności z odmianą tego wyrazu, proponuję więc użyć w charakterze ściągi przymiotnik **koralowa** i dawać królowej takie same końcówki jak koralowej. Tylko wołacz jest normalny i brzmi: **królowo!**

Na marginesie uwaga do Ciebie, Marto. Nie mówi się „w książce pisało", lecz **było napisane.**

Mam do Ciebie jedno pytanie, Kropeczko. Otóż przeczytałam na jednym pudełeczku „pinezki", a na drugim „pineski". Teraz nie wiem, jak jest poprawnie.

— Anda

Pinezka, tych pinezek.

Kiedy opisywałem wydarzenia z ballady pt. „Pani Twardowska", zauważyłem, że nie rozumiem następującego fragmentu:

„Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę
I krogulcze ma paznokcie..."

1) Co oznacza wyraz „krogulcze"? 2) Czy w wypracowaniu można użyć słowa począł zamiast zaczął?

— Krzyś

1) Takie jak u **krogulca.** Krogulec to ptak drapieżny (ma więc ostre mocne pazury) z rodziny sokołów. W Polsce przez myśliwych traktowany jako szkodnik. 2) Raczej nie, gdyż jest to zanadto książkowe.

Dziś na lekcji polskiego pani podyktowała nam zdanie, którego część brzmiała: „Autorka przekonywa nas..." Czy to dobrze? Ja myślę, że powinno być „przekonuje".

— B.

Ja **przekonuję** albo **przekonywam**, więc ona **przekonuje** lub **przekonywa.** Ta druga forma wydaje się nam dzisiaj nieco uroczysta, w potocznym języku jej nie używamy.

Wasza mgr KROPECZKA

LEKKOŚĆ, WDZIĘK, GRACJA

KOMU WSTĄŻKĘ, KOMU OBRĘCZ...

Wychodząc naprzeciw zainteresowaniom naszych Czytelniczek gimnastyką artystyczną, zwróciliśmy się z kilkoma pytaniami do kierowniczki Wyszkolenia d/s Gimnastyki Artystycznej Polskiego Związku Gimnastycznego, pani mgr Haliny Pokało-Lipiec. W udzielonym nam wywiadzie znajdziecie odpowiedzi na część skierowanych do nas pytań. Wywiadem tym rozpoczynamy cykl materiałów zawierających różne zestawy ćwiczeń i wskazówki metodyczne, opracowywane przez wybitnych specjalistów tej dyscypliny sportu.

— Pani magister, dlaczego gimnastyka artystyczna, sport, o którym marzy niemal każda dziewczyna, jest dostępny tylko dla nielicznych?

— Przyczyna tkwi w braku kadry trenerskiej, a w związku z tym i sekcji. W całym kraju działają 24 sekcje gimnastyki artystycznej zajmujące się wyczynem, ale jeszcze dwa lata temu było ich zaledwie 14. Jest to wynik włączenia tej dyscypliny sportu do programu nauczania podstawowego, igrzysk i spartakiad młodzieży szkolnej. W porozumieniu ze Szkolnym Związkiem Sportowym podjęliśmy organizację kursów dokształcających dla nauczycieli wf, którzy z kolei będą organizować sekcje gimnastyki artystycznej w swoich szkołach.

— Do tego celu można by też wykorzystać zawodniczki, kończące swoją karierę wyczynową.

— Zawodniczki, które przejawiają chęci i posiadają zdolności dydaktyczne są wykorzystywane w sekcjach jako pomocnice instruktorów. Ale to też nie rozwiązuje sprawy. Jedynym wyjściem z tej trudnej sytuacji jest szeroko zakrojone dokształcanie nauczycieli wf oraz zachęcenie większej liczby studentów wyższych uczelni sportowych do podejmowania specjalizacji w zakresie gimnastyki artystycznej.

— Ile szkół podstawowych o profilu sportowym specjalizuje się w gimnastyce artystycznej?

— Tylko dwie. Jest to SP-1 w Poznaniu, w której pracuje trenerka naszej kadry narodowej, pani mgr Wanda Skrzydlewska oraz jedna ze szkół w Gdyni. Trzecia taka szkoła powstanie w najbliższym czasie w Szczecinie. Poza tym do większości szkół podstawowych elementy gimnastyki artystycznej wprowadzono jako zajęcia obowiązkowe, w klasach I—IV.

— Jakie warunki musi spełnić dziewczyna, by zostać przyjętą do sekcji gimnastyki artystycznej wyczynowej?

— Przede wszystkim musi bardzo wcześnie rozpocząć ćwiczenia, to znaczy już w wieku pięciu lat. Są to ćwiczenia początkowe z muzyką. Siedmiolatki mogą już ćwiczyć z przyborami o zmniejszonych wymiarach. Wyjątkowo utalentowane dziewczęta mogą ćwiczenia rozpocząć nawet w wieku 8—9 lat. Podstawowymi warunkami przyjęcia do sekcji wyczynu są jednak: gibkość, rozwartość, skoczność, koordynacja ruchów, zwrotność, długie nogi, no i oczywiście umuzykalnienie.

— Co Pani radzi dziewczętom, które ten sport pragną uprawiać dla zgrabnej sylwetki i przyjemności?

— Powinny zgłosić się do sekcji w szkole lub MDK. Sekcji nie zajmujących się wyczynem jest coraz więcej. Do nich może przecież uczęszczać młodzież nie tylko utalentowana w tym kierunku. W tych szkołach, w których takich sekcji jeszcze nie ma, mogą je zorganizować nauczyciele wf. Szkolne Koła Sportowe, a nawet same dziewczęta. Wtedy powinny jednak znaleźć dorosłego opiekuna-instruktora, bowiem ćwiczeń z przyborami nie należy uprawiać samemu.

— Jest jeszcze możliwość uprawiania gimnastyki artystycznej w domu.

— Nie jest to takie proste. Trudno jest bowiem ćwiczyć z przyborami w małym pomieszczeniu. Do tego potrzebna jest sala gimnastyczna, ewentualnie świetlica. W domu można uprawiać ćwiczenia podstawowe, jak mostek, szpagat, skłony itp. Pragnę jeszcze raz podkreślić, że gimnastykę artystyczną wyczynową można uprawiać tylko pod kierunkiem instruktora.

— Wiele naszych czytelniczek zwraca się do nas z różnymi pytaniami. Czy istnieją poradnie metodyczne, do których moglibyśmy je kierować?

— Przy Wojewódzkich Federacjach Sportu istnieją sekcje gimnastyki artystycznej, tam więc należy się zwracać w sprawach szkoleniowych i organizacyjnych. Te sekcje na pewno udzielą też pomocy czytelniczkom „ŚM".

— Czy są podręczniki gimnastyki artystycznej zawierające zestawy ćwiczeń i wskazówki metodyczne indywidualnego uprawiania tej dyscypliny sportu?

— W tej chwili mogę polecić dw Pierwszy to „Układy gimnastyki tystycznej" zawierający ćwicze indywidualne i zespołowe dla m dzieży szkół podstawowych. Są układy bardzo proste. Nauczyciel wf, która nie jest nawet specjali ką w tej dziedzinie sportu, może powodzeniem prowadzić zajęcia oparciu o ten podręcznik. Jest dostępny we wszystkich szkoła W tym roku ukazał się drugi po ręcznik „Gimnastyka sportowa, tystyczna i akrobatyczna", które autorką jest m. in. p. dr Krysty Szczepańska z AZS AWF. Oprócz tych podręczników Polski Związ Gimnastyczny dysponuje zestawa układów obowiązkowych dla wszy tkich klas mistrzowskich.

— W związku z ogromnym zai teresowaniem naszych czytelnicz gimnastyką artystyczną zamierza na łamach „ŚM" prowadzić tzw. kademię Gimnastyki Artystyczn Czy możemy liczyć na Waszą p moc?

— Ależ oczywiście! Jesteśmy ba dzo zainteresowani rozwojem dyscypliny sportu. Możemy opra wywać specjalnie dla czytelnicz „ŚM" zestawy ćwiczeń, udzielać p rad metodycznych i odpowiedzi.

— Dziękujemy.

Rozmawia
RYSZARD RATAJCZY

Zdjęcie: **Marek Szymań**

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

Produkcja samochodów osobowych w krajach Ameryki Łacińskiej realizowana jest przede wszystkim w fabrykach stanowiących filie potężnych koncernów samochodowych ze Stanów Zjednoczonych, Europy i Japonii. Jednym z największych producentów samochodów na terenie Ameryki Łacińskiej jest Brazylia. Zlokalizowane na jej terenie filie takich koncernów jak General Motors, Chryslera, Forda, Volkswagena, Toyoty, Fiata, Mercedesa, Alfy Romeo wytwarzają rocznie około 750.000 sztuk samochodów osobowych.

W gronie tych producentów zachodnioniemiecki koncern Volkswagena zajmuje pod względem liczby wyprodukowanych pojazdów pierwsze miejsce. W brazylijskiej filii Volkswagena wytwarzane są zarówno pojazdy montowane z części dostarczanych z zakładów macierzystych, jak również w całości produkowane w tej filii. Do pojazdów Volkswagena, produkowanych wyłącznie w jego brazylijskiej wytwórni, należy samochód sportowy VOLKSWAGEN SP 2.

Jego nadwozie zaprojektowała współpracująca z koncernem Volkswagena wytwórnia Karmann-Ghia. Sportową sylwetkę podkreśla mała wysokość pojazdu i długi przód samochodu, który wykorzystany jest jako przedział bagażowy, gdyż silnik umieszczony jest z tyłu. Element dekoracyjny, niespotykany powszechnie w innych samochodach, stanowią przetłoczenia na boku nadwozia. Ich wgłębienia malowane są kontrastowo w stosunku do całej barwy nadwozia. Przetłoczenia te stanowią jednocześnie wzmocnienia bocznych płaszczyzn nadwozia. Wewnątrz samochodu mieszczą się wyłącznie dwie osoby na pojedynczych fotelach typu lotniczego.

VOLKSWAGEN SP 2 posiada czterocylindrowy silnik o przeciwbieżnym układzie cylindrów (po 2 cylindry umieszczone z każdej strony), jest chłodzony powietrzem. Silnik ten może posiadać pojemność 1584 lub 1678 cm sześc. W celu umożliwienia eksploatacji pojazdu na gorszym paliwie o niskiej liczbie oktanowej, silnik posiada bardzo niskie sprężanie, wynoszące 7,2 (w naszym POLSKIM FIACIE 125 P wynosi ono 9). Moc silnika wynosi odpowiednio 54 i 65 KM. Silnik ten napędza za pośrednictwem czteroprzekładniowej skrzyni biegów tylne koła.

Samochód posiada długość całkowitą 4216 mm, szerokość 1610 mm, wysokość 1158 mm, ciężar wynosi 1074 kG. Osiąga prędkość 149 km/godz. (z silnikiem o mocy 54 KM) i 161 km/godz. (z silnikiem o mocy 65 KM). Zużywa 8 litrów niskooktanowej benzyny na 100 kilometrów.

ZENON DUTKIEWICZ

MI-ŁOŚ-NI-KOM PIOSENKI!

Polskie Wydawnictwo Muzyczne – Redakcja „Synkopa" od 1968 roku wydaje albumy „KLUBU MIŁOŚNIKÓW PIOSENKI".

W ciągu roku ukazuje się 6 albumów zawierających felietony napisane przez wybitnych muzykologów, prezenterów i krytyków muzycznych znanych z pism, radia i telewizji. W albumach tych zamieszczane są najpopularniejsze przeboje i piosenki w przystępnych opracowaniach na głos, z podaniem funkcji harmonicznych.

Do każdego albumu dołączone będzie kolorowe zdjęcie piosenkarza lub zespołu. Cena rocznej prenumeraty wraz z wszystkimi kosztami wynosi – 72.– zł.

Osobom zainteresowanym dostarczy bezpłatnie prospekty i formularze POWSZECHNA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA, ul. Nowolipie 4, skr. pocztowa 1003, 00-950 Warszawa.

K-4/7

WAŻNE DLA FILATELISTÓW

(Inf. wł.). Od dwóch lat działa Młodzieżowe Koło Filatelistów nr 51 w osiedlu Nauczycielskiej Spółdzielni Budowlano-Mieszkaniowej „Podleśna" w Warszawie. Co prawda zapaleńcy już wcześniej kolekcjonowali znaczki i wymieniali je między sobą, ale dopiero systematyczne zajęcia prowadzone pod kierunkiem filatelisty i instruktora ZHP, dr Ryszarda Jakubowskiego, przyniosły sukcesy, o jakich marzyli.

Stworzyli 17 zbiorów znaczków, które eksponowali na 11 wystawach krajowych i zagranicznych. Najlepszy okazał się zbiór „Stara Warszawa". Powstał w ub. roku i od razu zdobył złoty medal Okręgowej Wystawy Filatelistycznej w Szczecinie z gratulacjami jury. Dziesięciu młodym filatelistom przyznano brązowe odznaki Polskiego Związku Filatelistycznego. We współzawodnictwie kół młodzieżowych klub z Podleśnej zdobył w ub. roku pierwsze miejsce. **(mat)**

Redaguje WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Otrzymałem bardzo wesoły list od „Stowarzyszenia imienia Rzepa" z Wrocławia. „Stowarzyszenie" to po prostu zastęp, który przybrał moje imię. Jestem z tego bardzo dumny, bo dotychczas jo miałem tylko klasę mego imienia (w Lęborku), a Rzepinka ma już cała masę zastępów „Rzepinek" w całej Polsce. Mój zastęp wystąpił na zimowisku w pełnej „rzepowej" krasie: na dziobach nart namalowali moją podobiznę. Wszyscy wyhaftowali też mój wizerunek na swetrach narciarskich. Zastęp posiada także totem, który jak wynika z opisu wygląda tak:

O-L I M P I A D A!!! Joasia Rządca zaprojektowała taki oto symbol Zimowych Igrzysk Olimpijskich.

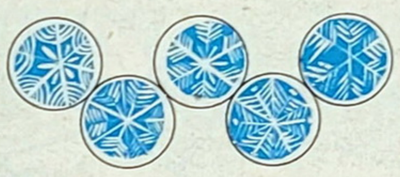

Nazywają się: Koralik i Petronela. Przysłał ich Wojtek Zając na wycieczkę do Warszawy.

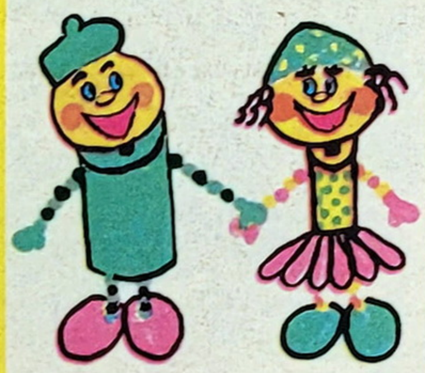

Na zakończenie dzisiejszej poczty – pomysł nadesłany przez Mirka Przepiórę. Do zobaczenia za tydzień!

Wasz Rzep

KRYZYS ENERGETYCZNY

Rys. W. Lewiński

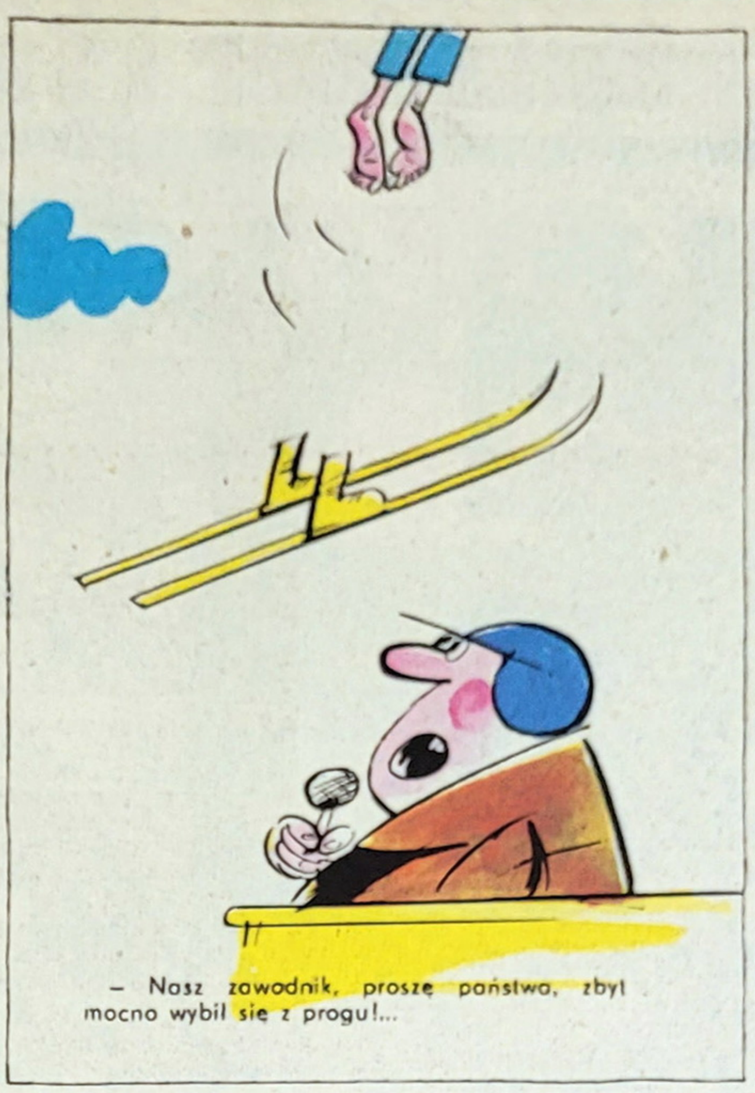

– Nasz zawodnik, proszę państwa, zbyt mocno wybił się z progu!...

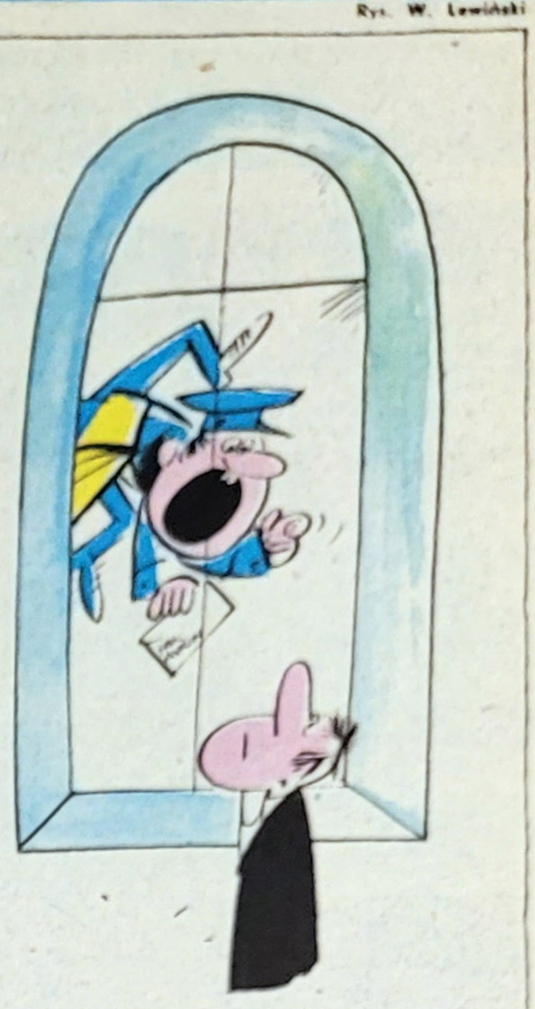

Poczta lotnicza!...

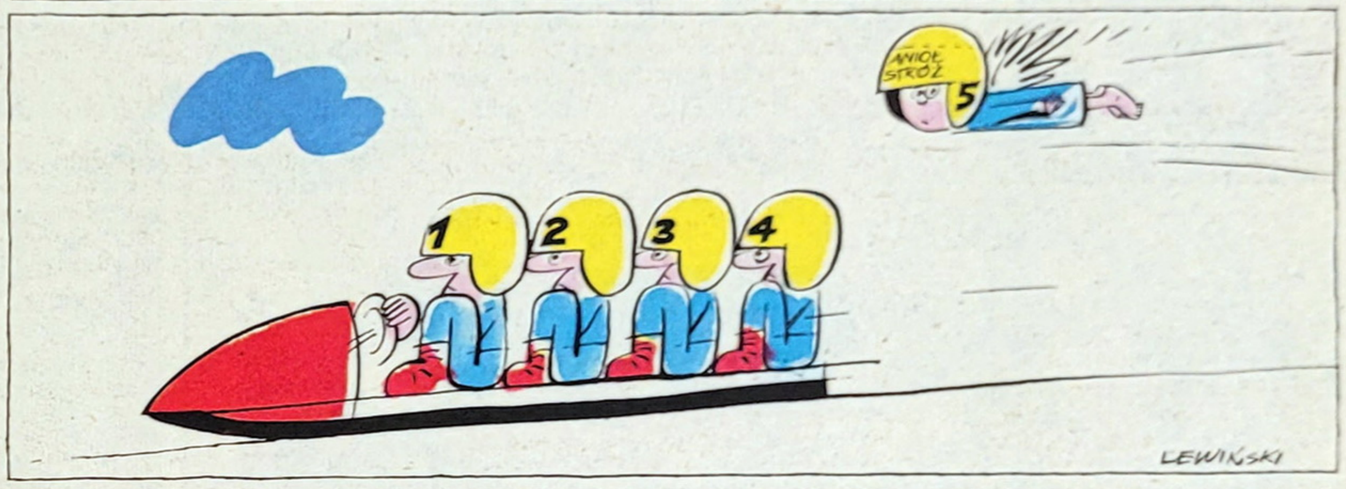

RZEPKLUB

Przyjmuję do klubu Agnieszkę Leszczyńską. Oto nadesłany przez nią żart rysunkowy.

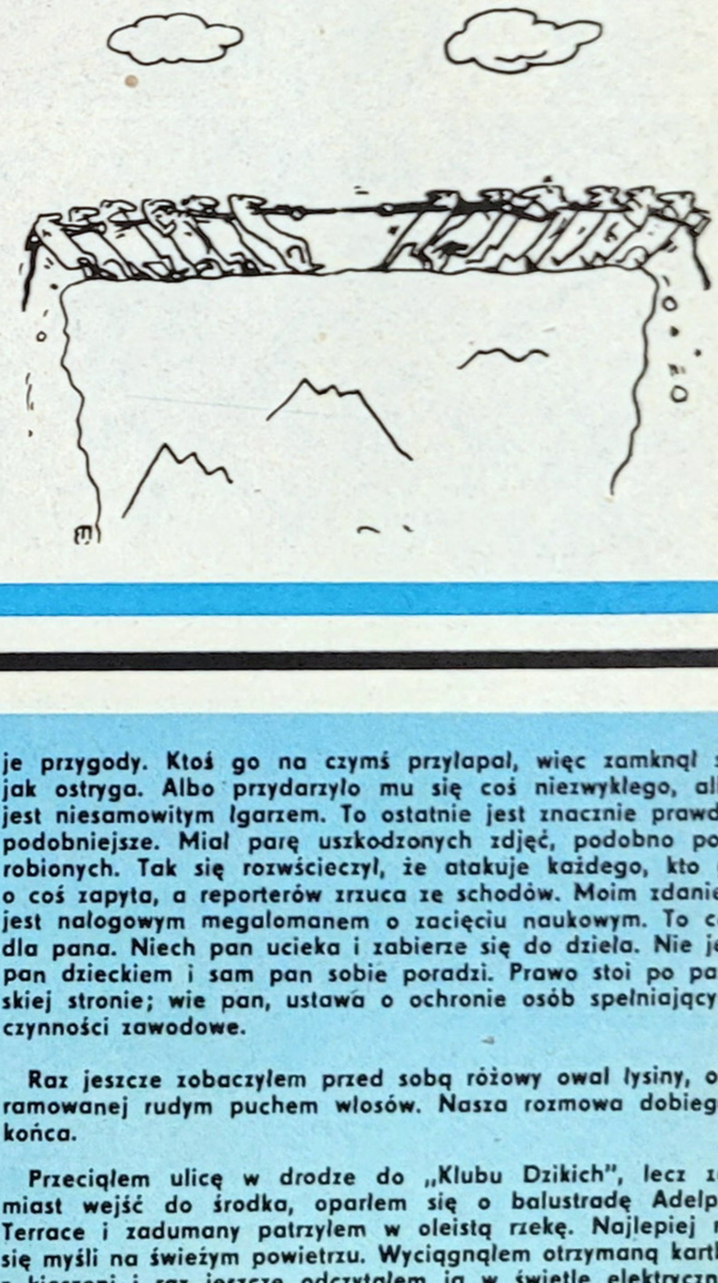

oszusta – nowoczesnego barona Munchhausena 2) – o ośmieszeniu go? Mógłby pan udowodnić mu kłamstwo, bo jest kłamcą! Człowieku, wspaniały pomysł! Odpowiada panu?

– Odpowiada mi wszystko i wszędzie.

McArdlle rozmyślał chwilę.

– Nie wiem, czy potrafi pan nawiązać z nim przyjazne stosunki lub przynajmniej jakoś dogadać się – odezwał się wreszcie. – Pan daje się lubić. Licho wie, czemu to przypisać: jakiemuś czarowi, magnetycznej sile, młodzieńczej żywotności czy czemuś innemu, ale zdaję sobie sprawę, że tak jest.

– Pan jest bardzo uprzejmy.

– Więc czemu nie miałby pan spróbować szczęścia z profesorem Challengerem z Enmore Park?

Nie mogłem ukryć zdziwienia.

– Challenger? – wykrzyknąłem – Profesor Challenger, słynny zoolog! Ten, który rozbił głowę Blundellowi z „Telegrafu"?

Redaktor uśmiechnął się ponuro.

– Przestraszył się pan? A niedawno szukał pan przygody.

– Należy ona do naszego zawodu – odparłem.

– Ano tak. Nie sądzę, aby profesor zawsze był taki gwałtowny. Blundell albo trafił na zły moment, albo nie umiał do niego podejść. Pan może mieć więcej szczęścia lub taktu. Ma więc pan coś, o co panu chodziło, a nasza gazeta może na tym skorzystać.

– Nic o nim nie wiem – powiedziałem. Przypominam sobie tylko jego nazwisko ze sprawy sądowej o pobicie Blundella.

– Mam tu jakieś notatki, które mogą się panu przydać. Przez pewien czas, zresztą niedługo, interesowałem się osobą profesora – wyciągnął arkusz papieru z szuflady. – Oto krótki rejestr jego osiągnięć. Podam go panu w paru słowach:

„Challenger George Edward. Urodzony w Largs w północnej Anglii, w 1863 roku. Kształcił się w akademii w Largs i na uniwersytecie w Edynburgu. W 1892 roku został asystentem w Muzeum Brytyjskim. W 1893 starszym asystentem wydziału antropologii porównowczej. Tegoż roku zrezygnował z tego stanowiska wskutek jakichś uwłaczających listów. Nagrodzony medalem Crayston za osiągnięcia w dziedzinie zoologii. Członek następujących towarzystw zagranicznych... – Tu... całe dwa wiersze drobnego druku różnych nazw... Ogłosił drukiem: „Parę uwag o budowie czaszek Kalmuków", „Studia nad ewolucją kręgowców" oraz wiele drobnych publikacji łącznie z „Podstawowymi błędami weismanizmu". Ta broszura wywołała burzliwą dyskusję na kongresie zoologów w Wiedniu. Uprawia alpinizm i turystykę pieszą. Adres: Enmore Park, West Kensington."

Proszę, niech pan to weźmie. Na dziś nie mam już żadnych dalszych poleceń.

Wsunąłem kartkę do kieszeni.

– Jeszcze chwilkę, proszę pana – powiedziałem widząc przed sobą już tylko różową łysinę zamiast rumianego oblicza. – Nie bardzo wiem, o czym mam rozmawiać z profesorem. O co właściwie chodzi?

Rumiana twarz znów ukazała się znad papierów.

– Wyruszył samotnie do Ameryki Południowej dwa lata temu. Wrócił w ubiegłym roku. Niewątpliwie był tam, ale nie chce dokładnie określić gdzie. Zaczął mętnie opowiadać swoje przygody. Ktoś go na czymś przyłapał, więc zamknął się jak ostryga. Albo przydarzyło mu się coś niezwykłego, albo jest niesamowitym łgarzem. To ostatnie jest znacznie prawdopodobniejsze. Miał parę uszkodzonych zdjęć, podobno podrobionych. Tak się rozwścieczył, że atakuje każdego, kto go o coś zapyta, a reporterów zrzuca ze schodów. Moim zdaniem jest nałogowym megalomanem o zacięciu naukowym. To coś dla pana. Niech pan ucieka i zabierze się do dzieła. Nie jest pan dzieckiem i sam pan sobie poradzi. Prawo stoi po pańskiej stronie; wie pan, ustawa o ochronie osób spełniających czynności zawodowe.

Raz jeszcze zobaczyłem przed sobą różowy owal łysiny, obramowanej rudym puchem włosów. Nasza rozmowa dobiegła końca.

Przeciąłem ulicę w drodze do „Klubu Dzikich", lecz zamiast wejść do środka, oparłem się o balustradę Adelphi Terrace i zadumany patrzyłem w oleistą rzekę. Najlepiej mi się myśli na świeżym powietrzu. Wyciągnąłem otrzymaną kartkę z kieszeni i raz jeszcze odczytałem ją w świetle elektrycznej latarki. I wtedy doznałem olśnienia. Jako dziennikarz, nie mogłem oczywiście dostać się do kłótliwego profesora. Ale z dwóch wzmianek o jego bezkompromisowej postawie wynikało, że był fanatykiem nauki. Czy tu nie dałoby się go podejść? Spróbuję.

C.d.n.

---

1) Robert Clive – urzędnik Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, później generał i mąż stanu. Jego zwycięstwo pod Plassey (1757) zapewniło panowanie Anglii w Indiach.

2) Baron Karl Friederich Hieronimus von Munchhausen (1720–1797) – niemiecki awanturnik i łgarz. Zasłynął z fantaronady i fantastycznych opowieści o swych przygodach.

Kuśmider i Filo

Rysunki: TADEUSZ RACZKIEWICZ
Scenariusz: JERZY DĄBROWSKI

6

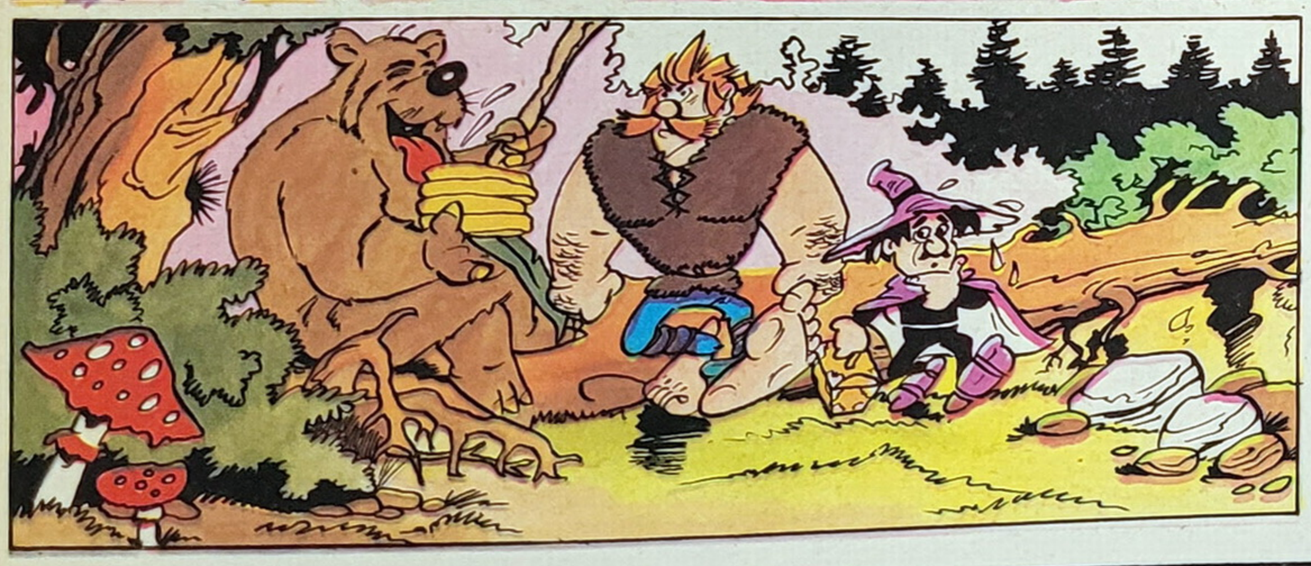

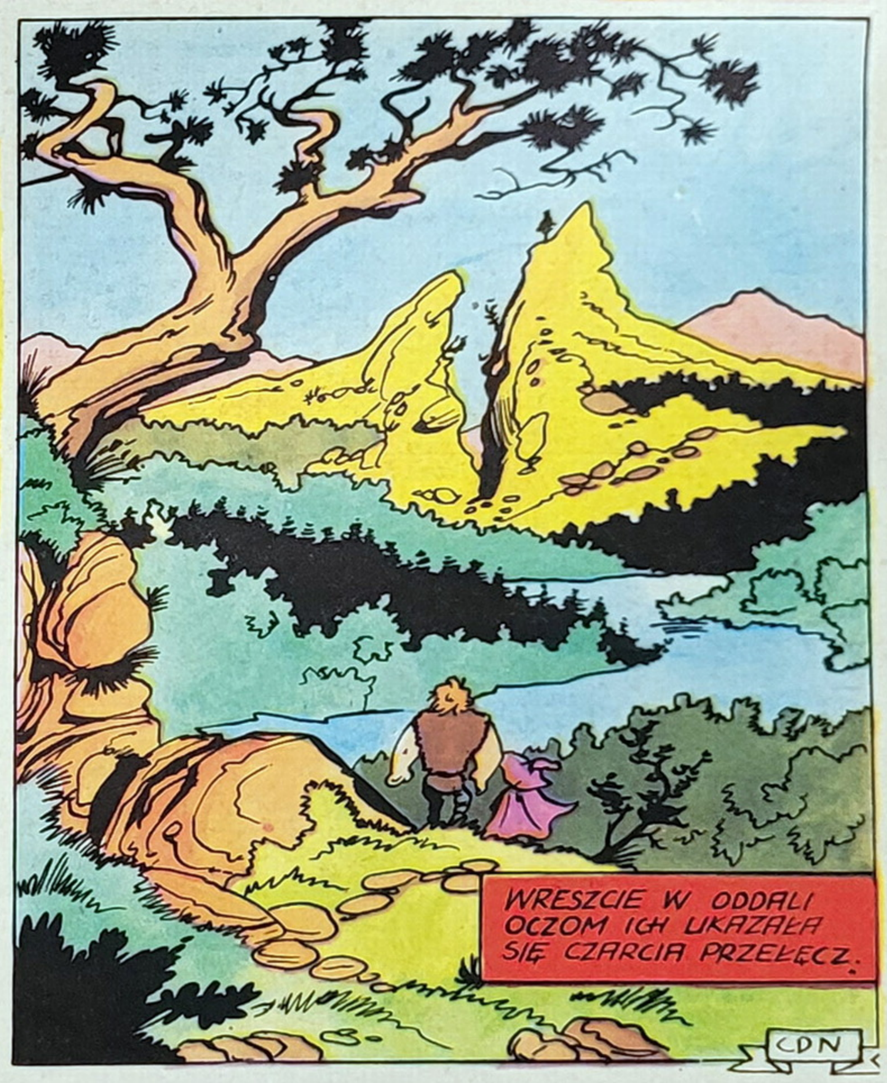

ŚWIAT MŁODY

ADRES REDAKCJI: ul. Kotowska 24, 00-361 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTOREK, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzywiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Mieszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wiecholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:
Red. naczelny 21-1[illegible]
Sekr. redakcji 28-2[illegible]
Dział Łączności z Czytelnikami 28-9[illegible]

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa-Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza [illegible], Warszawa, ul. Koszykowa [illegible]. Telefony: Dyrektor 28-[illegible], Dział Wydawniczy 29-[illegible], 29-56-19. Prenumerata krajowa miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i [illegible] prenumeratę przyjmują [illegible] łącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki granicę, która jest o 10 % droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO I-6-100021. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa

Redaktor odpowiedzialny: Jerzy Dąbrowski

Opracowanie graficzne: Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna: Henryka Żochowska

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego". Warszawa.

Zam. 13/263.
Nr indeksu — 35039/35048.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-581 POCZTOWY

ŚWIAT ZAGINIONY

2

CONAN DOYLE

tłum. Tadeusz Evert

— Może zresztą jestem zwariowaną kobietą z dziewczęcymi kaprysami. Są one jednak częścią mojej natury i nie mogę się ich wyrzec. Jeśli wyjdę kiedy za mąż, to tylko za sławnego mężczyznę.

— Oczywiście! — zawołałem. — Takie kobiety jak pani są natchnieniem mężczyzn. Niech mi się tylko nadarzy sposobność! Zresztą, jak pani powiedziała, mężczyzna sam ją sobie stwarza, a nie czeka bezczynnie. Taki Clive 1) — zwykły urzędnik, a podbił Indie. Na Boga! Pokażę, co umiem!

Roześmiała się z nagłego wybuchu mego irlandzkiego temperamentu.

— Nie wątpię — odparła. — Ma pan wszystkie dane. Jest pan młody, zdrowy, silny, wykształcony i energiczny. Martwi lam się, że pan zaczął tę rozmowę, ale teraz jestem rada... tak, rada... że rozbudziłam w panu podobne chęci.

— Ale jeśli rzeczywiście czegoś dokonam?...

Ciepłą, miękką jak aksamit dłonią zamknęła mi usta.

— Sza, mój panie. Już od pół godziny powinien pan siedzieć w redakcji przy wieczornej pracy, ale nie miałam serca przypomnieć panu o tym. Może kiedyś, kiedy stanie się pan sławny, powrócimy do tego tematu.

Tak oto mglistego listopadowego wieczoru znalazłem się w tramwaju w drodze do Camberwell, z sercem pałającym miłością i silnym postanowieniem niezwłocznego dokonania jakiegoś czynu, który sprawi, że stanę się godny ukochanej dziewczyny. Któż jednak mógł przypuszczać, jak niewiarygodny będzie ten czyn i jak dziwnymi drogami go spełnię.

Czytelnicy pomyślą zapewne, że ten pierwszy rozdział nie ma nic wspólnego z tym opowiadaniem. A jednak bez niego nie byłoby opowiadania. Bo tylko wtedy, gdy człowiek zrozumie, że bohaterem może być każdy, byle ożywiała go gorąca chęć wykorzystania sprzyjającej okazji — tylko wtedy zdoła zerwać z dotychczasowym życiem i ruszyć w czarowny, osnuty mgłą tajemnicy świat przygód i wielkiej nagrody. Wyobraźcie więc sobie mnie, małego pionka w redakcji „Gazety Codziennej", zdecydowanego dziś jeszcze stanąć w szranki o moją Gladys. Czemu dla własnej chwały narażała moje życie? Przez egoizm czy przez zatwardziałość serca? Nad tym mógł się zastanawiać mężczyzna dojrzały, lecz nigdy dwudziestotrzyletni młodzieniec w gorączce swej pierwszej miłości.

NIECH PAN SPRÓBUJE SZCZĘŚCIA Z PROFESOREM CHALLENGEREM

Lubiłem McArdlie'a, starego zrzędę, przygarbionego, rudego sekretarza redakcji, i miałem wrażenie, że on mnie też lubi. Prawdziwym naszym szefem był pan Beaumont; żył jednak gdzieś na wyżynach Olimpu i nie dostrzegał mniejszych wydarzeń niż międzynarodowy kryzys lub upadek gabinetu. Czasem widywaliśmy go, jak w wyniosłym osamotnieniu podążał do swego sanktuarium z błędnym okiem i myślą bujającą gdzieś na Bałkanach czy nad Zatoką Perską. Był ponad nami i poza nami. Przede wszystkim mieliśmy bowiem do czynienia z McArdlie'em, jego pierwszym zastępcą i prawą ręką.

Gdy wszedłem do jego gabinetu staruszek skinął mi głową i podsunął okulary wysoko na łyse czoło.

— A, pan Malone. Z tego, co słyszę, spisuje się pan wcale dobrze — powiedział swym miłym szkockim akcentem.

Podziękowałem mu za te słowa.

— Reportaż o wybuchu w kopalni bardzo się panu udał. Tak samo jak i o pożarze w Southwark. Ma pan prawdziwą reporterską żyłkę. Z czym pan przychodzi?

— Z wielką prośbą.

Zaniepokoił się i opuścił wzrok.

— Hm, hm, o cóż chodzi?

— Czy nie mógłby pan mi powierzyć jakiegoś poważnego zadania dla naszego pisma? Dołożę starań, żeby się jak najlepiej wywiązać i napisać dobry reportaż.

— O jakim zadaniu pan myśli?

— O jakimś niebezpiecznym i awanturniczym. Może pan być pewien, że dobrze się spiszę. Im będzie trudniejsze, tym lepiej.

— Szuka pan śmierci?

— Celu w życiu, proszę pana.

— Drogi panie, bardzo... bardzo wzniosłe chęci. Ale sądzę, że to już należy do przeszłości. Takie „specjalne zadania" nie opłacają się, a poza tym można je zlecić tylko ludziom doświadczonym, ze znanym nazwiskiem, cieszącym się zaufaniem publiczności. Białe plamy na mapach znikają, a czasy romantycznych przygód minęły. Ale chwileczkę! — dodał z nagłym uśmiechem. — Zdanie o białych plamach podsunęło mi pewną myśl. Co by pan powiedział o zdemaskowaniu

Ciąg dalszy na str. 7